NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 29 lipca 1905 r. Nr. 31.

Napad na komisarza policyi w Krakowie.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Wyścigi cyklistów we Lwowie: Grupa z wyścigów.

Krakowscy nożowcy.

(Do illustracyi tytułowej).

Pozazdrościł Kraków sławie Warszawy, która posiada prócz zamiejskich knajp i restauracyi, prócz wspaniałych hotelów, teatrzyków i varietée — specyalny produkt, specyalną właściwość brukową: nożowców. Istotnie! Nigdzie kult noża i kieliszka nie stoi tak wysoko jak w stolicy dawnej Polski. W Warszawie nietylko w nocy, ale i w biały dzień niepodobieństwem jest przejść przez bardziej ustronne ulice, nie będąc narażonym na pchnięcie nożem, lub co najmniej obrabowanie pod grozą śmierci. Ba! nawet w pryncypalnych ulicach we dnie bywały wypadki sztyletowania i kaleczenia ludzi, częstokroć nawet nie „dla interesu“ — lecz ot! tak sobie „dla sportu“ i wprawy ze strony zawodowych rzezimieszków i brukowych zbójów. Nareszcie Kraków może oddać sobie słuszność, że przynajmniej w tym wypadku dorównał zupełnie wesołej Warszawie. Od dawna chodziły głuche wieści o zorganizowanych karnych bandach nożowców, grasujących nocą po miejskich zaułkach, wieści, którym może nie zupełnie wiarę dawano, aż straszny, bezprzykładny fakt otworzył oczy publiczności i władzom bezpieczeństwa.

W ubiegłym tygodniu z soboty na niedzielę wracał w nocy komisarz policyi Antoni Trzeciak na Podgórze, gdzie mieszka. Noc była ciemna — najlepszy sprzymierzeniec zbrodni i rozpusty. Na ulicy Mostowej spostrzegło baczne oko komisarza zbiegowisko urwiszów, a równocześnie doszedł uszu jego przeraźliwy głos kobiecy, wzywający ratunku. Odważny i dzielny człowiek, jakim jest p. Trzeciak nie zawahał się ani chwili i pospieszył z pomocą i obroną kobiecie. Na miejscu zastał kilkudziesięciu ludzi, pastwiących się w nieludzki sposób nad bezbronną kobietą. Zrazu chciał w dobry sposób wyperswadować opryszkom ohydę ich postępowania, gdy to nie pomagało odepchnął jednego z nich. Było to hasłem do ogólnego zwrócenia się łotrów przeciw interweniującemu. Maltretowana kobieta uciekła szczęśliwie, natomiast komisarz Trzeciak powalony o ziemię znalazł się pod razami rozjuszonych bandytów. Sponiewierany i pokaleczony miał na tyle jeszcze siły i przytomności, że powstał i wyciągnął szpadę w celu własnej obrony. Szpada w mgnieniu oka znalazła się w ręku napastników, Trzeciak powtórnie powalony, bity i katowany utracił przytomność. Gdyby nie przypadkowo przechodzący pp. Nowiński i Schmidt, którzy wzięli w obronę p. Trzeciaka, z pewnością życiem przypłaciłby czyn swój szlachetny. Trzeciaka ciężko poranionego przewieziono na stacyę ratunkową a następnie do domu, gdzie pod opieką lekarską pozostaje w kuracyi. Stan jego zdrowia, aczkolwiek ciężki — nie zagraża jednak bezpośrednią katastrofą i jest wszelka nadzieja uratowania zacnego tego człowieka i sumiennego urzędnika. Rycina nasza przedstawia scenę napadu na kom. Trzeciaka.

Wyścigi cyklistów.

Jazda na kole — jako sport — upada, przynajmniej we Lwowie, z każdym rokiem. Jestto fakt stwierdzony i nieulegający wątpliwości. Główną przyczyną tego objawu jest to, że stan dróg w okolicy Lwowa jest wprost fatalny, fatalny nietylko z powodu terenu ogromnie pagórkowatego, lecz i z powodu niedbałego utrzymywania. Po pierwszym deszczu droga świeżo wyszutrowana i naprawiona, staje się z powodu mnóstwa wybojów prawie niemożliwą do użycia dla cyklisty. Nic dziwnego też, że każdy, kto choć raz spróbował rozkoszy i przyjemności jazdy po takiej „galicyjskiej“ drodze, zarzuca ten sport, choć uznaje jego wszystkie zalety.

Rzecz naturalna, że z upadkiem samego sportu, musi iść i upadek zamiłowania do wyścigów na kole. A był czas, kiedy wyścigi cyklistów były we Lwowie bardzo interesujące i ściągały na znako-



Wizyta eskadry angielskiej w Brest: Iluminacya floty francuskiej i angielskiej.

mity tor klubu cyklistów za rogatką stryjską tłumy doborowej publiczności.

Dopiero ożywiony w ostatnich miesiącach ruch sportowy, a zwłaszcza agitacya, rozwinięta przez szereg jednostek, które założyły we Lwowie pożyteczną instytucyę „Towarzystwo zabaw ludu i młodzieży“, zachęciły klub młodzieży cyklistów do urządzenia w ubiegłą niedzielę wyścigów cyklistów.

Program zapowiadał prócz wyścigów na kołach, wyścig motocyklów i zawody piesze, te ostatnie zorganizowane przez „Towarzystwo zabaw ludu i młodzieży“. Udział startujących był bardzo duży, zgłosiło się ich bowiem zwyż dwudziestu.

Z pomiędzy biegów najbardziej interesującym był bieg ostatni, *omyum handicap*, w którym zwyciężył p. Artur Lang, bijąc w ostatniem okrążeniu dwa tandemy. Wyścig motocyklów nie wzbudził wśród publiczności zaciekawienia, ponieważ każdy z motorów przebywał pewną ilość okrążeń osobno, na czas, przez co publiczność pozbawioną była wszelkiej emocyi, jakiej dostarcza widok współzawodnictwa i pewnego niebezpieczeństwa, z jakiem to współzawodnictwo jest połączone.

Zawody piesze dały rezultat — jak twierdzą „fachowcy“ — zupełnie zadowalający, zajmujące jednak nie były.

Podajemy obok zdjęcie z ostatnich wyścigów.

Wizyta floty angielskiej we Francyi.

Jak wiadomo, za sprawą Delcassego zawarła Francya z Anglią przymierze tak zwane *entant cordiale*. Przymierze to skierowane było przeciw Niemcom, którzy poczęli być dla Anglii i Francyi niebezpiecznymi. Wobec niepewnego położenia na morzu Niemieckiem i obawy, że Niemcy mogliby w razie wojny spróbować przerzucenia wielkiej armii na wyspy angielskie, postanowiono przed paru miesiącami w Londynie skoncentrować wszystkie eskadry w pobliżu wybrzeży, aby na wszelki wypadek się zabezpieczyć.

Bitwa pod Cuszimą uwolniła Anglię od konieczności utrzymania bardzo silnej floty nad wybrzeżami chińskiemi i umożliwiła zmniejszenie eskadry wschodnio-azyatyckiej o 7 okrętów pancernych.



Zamach na sułtana: Sułtan Abdul Hamid II.

Również i Francya nie potrzebuje utrzymywać na Dalekim Wschodzie tak wielkiej floty, jak dawniej.

Dla zadokumentowania więc swej siły, oraz dla pokazania Niemcom potęgi, obaj sprzymierzeńcy, Anglia i Francya, urządziły w ubiegłym tygodniu wspaniałą domonstracyę. Mianowicie potężna eskadra angielska przybyła w gościnę do zebranej w porcie w Brest we Francyi eskadry francuskiej. Uroczystości i zabawy trwały przez całe trzy dni. Ilustracya nasza przedstawia obie zaprzyjaźnione eskadry w czasie iluminacyi w porcie w Brest.

Zamach na sułtana.

Przykład rewolucyi w Rosyi nie pozostał bez widocznego naśladownictwa — ruch wolnościowy, domagający się reform kartaczami i bombą, skoro inne środki zawiodły, ogarnął szersze warstwy, przeniósł się tam, gdzie reformy powinny być wprowadzone najprędzej jeszcze, do Turcyi.

Nie pomogły obronne mury, chroniące sułtana przed kulą mordercy, nie obroniło go czujne oko policyi — na nic się zdały setki szpiegów wśród własnej rodziny sułtana — mściwa karząca dłoń dosięgła go w chwili, kiedy zamachu spodziewano się najmniej.

Obostrzone warunki, nie dozwalające wstępu, do sułtańskiego pałacu, zabezpieczanie się sułtana przed możliwym napadem w nocy w ten sposób, że co noc zamieszkiwał inny apartament, okazały się najzupełniej zbyteczne, daremne, bo zamachu dokonano nie w samym pałacu, ale poza jego obrębem.

Na razie nic pewnego powiedzieć nie można. Z dnia na dzień nadchodzą najrozmaitsze wiadomości, starające się zawiły fakt zamachu rozwiązać i wyjaśnić.

Dotychczas przeważają dwie wersye.

Jedna z nich podaje, że wybuch, wywołany prawdopodobnie maszyną piekielną, nastąpił w chwili, gdy powóz sułtana skierował się do Ildiż, do pałacu sułtańskiego. Eksplozya, jakkolwiek za wcześnie wywołana, była tak silna, że skutki wybuchu widoczne są na bardzo wielkiej przestrzeni.

Według drugiej wiadomości wybuch miało wywołać dwóch mężczyzn we własnym powozie znaczną ilością dynamitu. Obaj zginęli na miejscu, poszarpani w tysiączne kawałki. Sułtan posłyszawszy wybuch zawrócił powóz na miejscu i w ten sposób uszedł niechybnej zagłady.

Miejsce wybuchu straszny przedstawia widok. Cała masa trupów ludzi i koni, broczących obficie krwią, wala się po ulicy. Poszarpane członki zwisają bezkształtnie, kapiąc się w kałużach krwi. Resztki powozów, gruzy z murów, przygniatają rannych, wydających głuche jęki. Ulica cała wygląda jak świeże pobojowisko, gdyż według ostatniego rozporządzenia sułtana nie wolno umarłych grzebać. Rannych przewiezionych do szpitala nie pierwej wypuszczają, aż stwierdzą ich identyczność i wydobędą potrzebne zeznania. Policya turecka rozwinęła gorączkową działalność w pościgu za sprawcami wybuchu, chcąc bodaj w części złagodzić straszny gniew sułtana.

Rycina nasza przedstawia miejsce, którem przejeżdżał sułtan, w chwili zamachu.

Zamieszczamy także fotografię samego sułtana.



Zamach na sułtana: Wybuch bomby przed meczetem.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

9 (Ciąg dalszy).

W najbliższą niedzielę zmusiła się do stawienia się na oznaczoną godzinę i przygotowania przyjęcia.

Tym razem dwie młode koleżanki sprowadziła Bronia, której twarz młoda, wesoła była sympatyczną Oldze.

Przywitała ją z uśmiechem przyjaźni i podając rękę, rzekła:

— Cieszy mnie, że pani przyszła... rozmówimy się szczerze... cóż pani powie o broszurze, którą dałam?

— Broszura?! — mówiła zarumieniona — nie mogłam przeczytać.

— Jakto? Nie miała pani czasu?

— Nie to... ale mój ojciec jest woźnym, a gdy zobaczył tę broszurę, zgniewał się na mnie i odebrał książkę.

— Dam pani drugą — pocieszała Olga.

— Nie mogę wziąć... ojciec mi zabronił i powiedział, że tam są takie rzeczy, które ludziom porządnym głowę zawracają.

— Ojciec pani źle powiedział, nie rozumie się na tem i pewno nie czytał.

Słowa te zraniły ambicyę Broni i chmurna odpowiedziała:

— Ojciec mój jest woźnym, nie byle jakim wyrobnikiem albo rzemieślnikiem, on dużo umie i czyta.

Spostrzegła Olga swój krok fałszywy i starała się go naprawić.

— Nie wątpię, panno Broniu, że ojciec jest rozumny i oczytany, ale starsi przyjmują tak niechętnie wszelkie zmiany, że nawet najsprawiedliwsze rzeczy odrzucają.

— Może inni, ale nie mój — upierała się Bronia, chcąc swoją familią zaimponować obecnym koleżankom.

— Jeśli pani nie może czytać, przynajmniej zechce pani posłuchać, co mówię.

— A to, i owszem... dlatego przyszłam i przyprowadziłam moje znajome... ale nie na długo, proszę pani, bo mam dziś jeszcze pójść z wizytą.

I znów przybyli goście, wypili herbatę, zjedli co było, wysłuchali słów Olgi i pospiesznie wyszli.

Tym razem Olga nie umawiała się o następne spotkanie. Przekonała się, że tą drogą zapraszania, ugaszczania, nie dojdzie do celu, do zawiązania kółka chociażby bardzo małego.

VI.

Po dłuższym namyśle postanowiła zwierzyć się Żaleckiemu ze swych usiłowań i prosić jego rady, co robić i jak, aby dojść do upragnionego celu.

Wiedząc, kiedy Żalecki bywa w „Pochodni“, wybrała ten czas.

W niewielkim pokoju, przy zwykłym sosnowym stole, zarzuconym pismami, siedziało dwóch członków zatopionych w czytaniu, którzy zaledwie rzucili okiem na wchodzącą Olgę.

Bliżej okna stał mały stolik i przy nim usiadła, wziąwszy do ręki jakiś dziennik, nadając sobie pozory czytania, gdy jej myśli były zajęte układaniem tego, co mu powie i przypuszczeniami, co usłyszy w odpowiedzi.

Obydwaj czytający po pewnym czasie wyszli, a Olga, zostawszy sama, dzięki temu, że była w lokalu „Pochodni“, zaczęła szczegółowo roztrząsać dzieje pobytu swego na uniwersytecie.

Cisza w pokoju była zupełna, gdyż kolega, mieszkający w bocznym pokoiku i na nazwisko którego był najęty lokal, wyszedł na wykłady.

Przez szyby przeglądał dzień chmurny, dżdżysty, zimny, i od czasu do czasu wiatr dzwonił oknami i wył przeciągle w kominie.

Ten szary, zimny dzień nastrajał Olgę smutnie i na minione miesiące patrzała krytycznie, bez zapału i podniecenia, któremu zazwyczaj ulegała, gdy była w towarzystwie kolegów.

Co zrobiła? Czem przysłużyła się partyi? I co począć, aby stać się pożyteczną, aby pracować owocnie, aby nie być tylko niepotrzebnym dodatkiem do partyi, lecz zużyć swe siły i dobrą wolę na jej korzyść.

Już cztery miesiące minęło od założenia „Pochodni“ i jaki rezultat jej pracy?

Tyle zrobiła, co pierwsza lepsza „sympatyczka“ socyalnej-demokracyi.

Wszystko kończy się na dobrych chęciach, na wzdychaniu, na projektach, marzeniach, nadziejach, że kiedyś, może, przy sposobności korzystnej... coś uda się jej zrobić.

I zawsze jest bierną, bezczynną, marzącą, jak panna na wydaniu, która czeka na starającego się i marzy o nim w dzień i w nocy, ale spowita zależnością, kroku nie ruszy, a nawet nie śmie się do tego głośno przyznać!

To zupełnie ona i jej stosunek do socyalnej demokracyi.:. myśli, marzy, spodziewa się... a nawet nie śmie powiedzieć stryjostwu i ojcu, że ta partya jest jej celem i dążeniem.

Opanowała ją gorycz i upadek ducha, towarzyszący poczuciu bezsilności.

Wszedł Żalecki przemokły, zziębnięty i zrzuciwszy zmoczone, lekkie palto, strząsnąwszy wodę z kapelusza, rzekł ze śmiechem:

— Wiecie, na dworze przeszedłem piekło kapitalistyczne, wiatr, zimno, a nawet zadyma się zbiera... a tu raj socyalistyczny... o, nawet w piecu napalono, to pachnie zbytkiem.

Podszedł do pieca i grzał skostniałe ręce, a patrząc na Olgę, zapytał:

— Cóż siedzicie tak melancholijnie, jak fabrykant, gdy maszyny stanęły?

— Bo też u mnie zastrejkowały wszystkie siły, i siedzę bezradna – odpowiedziała poważnym głosem.

— Weźcie mnie za pośrednika – zaśmiał się – może doprowadzę do ugody i strejk ustanie. O cóż wam idzie? — zbliżył się do stolika, przy którym siedziała i patrząc jej w oczy — czy jesteście chorzy, koleżanko, bo nieszczególnie wyglądacie.

— Jestem tylko zmęczona.., nie wiem, po co żyję? w jakim celu? gdzie iść, do jakiego kresu?

— O, to nie jest śmiertelna choroba — uśmiechnął się, siadając naprzeciw niej — to, uważacie, zwykła choroba niemowląt, jak odra, szkarlatyna... to mija, każdy z nas ją przechodził.

— Ale nie kwękaliście długo, bo widzieliście jasno waszą drogę.

— Bywało różnie... no, opowiedzcie mi szczerze, co wam dolega? — i spojrzał na nią z większem współczuciem, aniżeli miał zamiar okazać, co zauważyła Olga i poczuła pewną wdzięczność.

— Widzicie — zaczęła po chwili — poszłam podług adresu i bez pośrednictwa tej osoby zaznajomiłam się z robotnicami pracowni krawieckiej. Zaprosiłam je, ugościłam, mówiłam z niemi trzy razy, za każdym razem z nowemi...

— I naturalnie na niczem się skończyło — przerwał jej — zjadły, wypiły, słuchały piąte przez dziesiąte i poszły sobie w świat, tak jak przyszły. Czy nie tak było?

— Prawda.

— To zwykły błąd początkujących i ja nie byłem wolny od niego. Ale dlaczego nie poradziliście się mnie? Byłbym was ochronił od wydatków niepotrzebnych i straty czasu.

Nie chcąc wyznać prawdy, że pragnęła samodzielnie przeprowadzić zawiązanie kółka i pochwalić się energią, powiedziała wymijająco:

— Nie przyszło jakoś do tego.

— Rozumiem — uśmiechnął się dobrotliwie — zależało wam na samodzielności... I to zwykły błąd także... Weźcie sobie, koleżanko, za zasadę, nie robić tajemnicy z czynu, który ma doniosłość dla partyi... poradźcie się zaufanego... zrobicie, jak uważacie, ale rada, zwłaszcza w początkach zawodu agitatora, bywa pożyteczna.

— Dobrze.

— Teraz rozumiem strejk waszych sił. Opanowało was zniechęcenie, nieufność w siły własne, bezcelowość pracy, bezskuteczność środków, a mglistość celu... ale to chwilowe... to minie.

— Dużo w tem słuszności, coście powiedzieli, ale nie to mi dolega.

— Cóż tedy?

— Widzicie... zdaje mi się, że chodzę wśród mgieł, czego się dotknę, to niema nic stałego, lecz rozwiewa się, wokoło mnie mrok... wierzę, że słońce gdzieś jest poza temi mgłami, ale ja go nie widzę, nie czuję, że bliskie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale i zainteresowaniem:

— Wytłumaczcie się jaśniej.

— Przyjęłam program socyalnej demokracyi, bo wydawał mi się jasnym, wielkim i był bliski moich marzeń.

— Czy program się zmienił? Czy cel stał się inny? — uśmiechnął się.

— Nie, tego też nie mówię... ale weźcie, kolego, ich środki i drogi — wstała i zebrawszy kilka pism ze stołu, położyła na małym stoliku — nic, prócz kłótni i wymyślań, bardzo, ale to bardzo niewybrednych na tych, którzy ośmielą się wymówić słowo „Polska“, jako odrębności narodowej.

— To zwykła polemika partyjna. U was, w Ro-

syi, nie mieliście swobody pism, nie mieliście też sposobności czytać polemik ostrych i wyzywających. Nad takiemi drobnostkami trzeba przejść do porządku dziennego. My dążymy do stworzenia wolności całego świata, a tem samem i Polski, a że ci i owi przychwytują się do wyrazów i o wyrazy walczą... głupstwo... rzecz się wyjaśni kiedyś.

— Dla was to jasne, ale nie dla mnie... A jak wam się też podoba taki program i cel socyalnej demokracyi...

Wzięła broszurę i po chwili czytała:

„Pomimo wszystkie zapędy socyalno-patryotyczne, partya galicyjska socyalno-demokratyczna pozostaje przy swym programie politycznym: powszechne, równe i tajne prawo głosowania, demokratyzacya Austryi. Między tym programem a programem Polski, leży przepaść nie do przebycia, gdyż jeden wprost wyklucza drugi“.

— Dajcie mi, przeczytam sam — wyciągnął rękę, a gdy skończył:

— Hm... widzicie, koleżanko, tu znów idzie o słowo, bo my przecież nie możemy dążyć do odbudowania Polski szlacheckiej czy burżuazyjnej.

— Ale w każdym razie dążymy do Polski niepodległej z ustrojem socyalistycznym — zawołała niecierpliwie, a na jego znak potwierdzający — w takim razie niech pisze wyraźnie.

— Przyznaję, że jest pewna nieścisłość.

— To jednak nie wszystko – mówiła, a oczy jej zapaliły się blaskami, twarz poróżowiała — ten program ich ciasny, wąski, malutki... Domokratyzacya Austryi!... Ale cóż mnie Austrya obchodzi! Gdzie są owe „wszystkie kraje“ Manifestu?! Więc tuż obok, o kilka mil gnębią, męczą, katują mój naród, a ja mam tylko dążyć, pracować, wysilać się o „równe, tajne prawo głosowania w Austryi“ i starać się o „demokratyzacyę Austryi – zaśmiała się nerwowym, krótkim śmiechem.

— Jesteście wzburzeni... uspokójcie się.

Wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju, w którym kładły się coraz grubsze cienie. Odrzucał wielkie włosy, szarpał brodę, a stanąwszy przed nią z rękami w kieszeniach marynarki, rzekł:

— Wiecie, koleżanko, i mnie zaczyna być duszno w tej atmosferze... przyznam się wam, że i ja idę jak we mgle, a spragniony cel coraz dalszy.

— Więc wyrwijmy się z tego zaczarowanego koła — zawołała energicznie.

— O nie! Trzeba wytrwać, pracować, a gdy ludzie psują ideę, naprawiać to, prostować – i znów zaczął przechadzkę.

Olga wstała i zapalając lampę, mówiła:

— Pracować! — uśmiechnął się drwiąco — i doświadczyłam sama na sobie, iść drogą kłamstwa.

Przystanął i zdziwiony:

— Nie rozumiem was.

— Rzecz bardzo prosta – mówiła, siadając znów przy stoliku — gdy robotnica pyta mnie o Boga, o wiarę, nie mogę jej powiedzieć, że to przesąd, bo cóż jej dam w zamian? Gdy mówi o posłuszeństwie rodzicom, nie mogę burzyć związków rodzinnych, bo gdzież ona znajdzie opiekę i przytułek? A gdy zechce się dowiedzieć o celach politycznych partyi, czy mogę jej powiedzieć o „demokratyzacyi Austryi?“ kiedy ona w głębi swej nosi inny ideał, inne pragnienie!

— To są, uważacie, wątpliwości zdenerwowanej kobiety... prześpicie się, odpoczniecie i minie.

Zaczął przechadzać się po pokoju, Olga układała i porządkowała pisma na stole i po chwili odezwała się:

— Co mi radzicie w sprawie robotnic?

— Macie znów chęć do pracy — uśmiechnął się przyjaźnie – to bardzo dobrze. Otóż wybraliście bardzo trudne pole. System kapitalistyczny nie zjednoczył w swem ręku tej gałęzi pracy. To małe przedsiębiorstwa burżuazyjne, i nie można tym rozrzuconym robotnicom mówić zaraz o strejkach, o walkach z wyzyskiem, ale zwolna przygotowywać grunt.

— W jaki sposób?

— Wyszukać, chociażby w gronie waszych znajomych pracownic, jedną inteligentną, zbliżyć ją do siebie, zaprzyjaźnić się i przez rozmowę, pisma, broszury usposobić ją na socyalistkę. Podsunąć jej myśl, aby ona szerzyła, jednała inne... Ona to lepiej od was potrafi, a gdy zbierze się ich grupa, dopiero wy występujecie i uświadamiacie.

— To długa droga — westchnęła.

— Ale pewna i prowadząca do celu.

— Postaram się skorzystać z waszych wskazówek — i zbierała się do odejścia.

— Już wychodzicie?... Poszedłbym i ja, ale muszę zaczekać na Waldmana. Przemawia dziś do czeladników piekarskich... Obawiam się, aby w zapale nie popełnił głupstwa.

— Dlaczego nie odradziliście?

— Upierał się i sam organizator kółka wezwał go.

W tej chwili wpadł Waldman i nie rozbierając się, zawołał:

— Dobrze, że cię zastałem, Żalecki... opowiem ci o twoich piekarzach!

— Czekałem na ciebie.

— Było ich ze trzydziestu — mówił, wieszając palto i kapelusz — a miałem im wyjaśnić stanowisko socyalnej demokracyi przy wyborach. Przygotowałem się z mową, a dobry wieczór, koleżanko — zasiadł przy stole i zapalił papierosa — a więc najprzód o braterstwie robotników i równości, o potrzebie solidarnego głosowania na posła, naznaczonego przez nasz komitet. A oni się pytają; czy to będzie nasz? Powiadam, że robotnik i wszystko jedno, czy on żyd, czy niemiec. Oni gwałt podnoszą, a gdy się uciszyło, ja im tłomaczę, że tu nie idzie o narodowość, to rzecz osądzona i pogrzebana, ale o socyalnego demokratę, który walczy z kapitalizmem. A ci w krzyk: nie chcemy Niemca,



...Olga w czasie opowiadania nie spuszczała oczu ze Żaleckiego i zauważyła, że przy ustępach o Polsce drgnął i zachmurzył się.

nie chcemy Żyda, tylko Polaka! I owszem, niech będzie sobie po polsku mówiący socyalny demokrata i tłómaczę im, że jak wyznanie niema żadnego znaczenia, tak i narodowość... ale wszczął się taki hałas, krzyk, że zeszedłem z mownicy i opuściłem zebranie.

Olga w czasie opowiadania nie spuszczała oczu ze Żaleckiego i zauważyła, że przy ustępach o Polsce drgnął i nachmurzył się.

— Uważasz, Waldman – przemówił po chwili – są uczucia, których nie trzeba drażnić. Obejdzie się bez frazesu o Niemca, bo przecież tu żaden nie będzie kandydował... a przez to zrażasz ich.

— Ty, Żalecki, jesteś oportunistą.. ty wchodzisz w konszachty z religią, narodowością, a ja jestem szczery socyalny demokrata. Niech oni odpadną od nas, my bez tych trzydziestu piekarzy nie zginiemy. Ja zresztą im się nie dziwię — uśmiechnął się drwiąco — oni tę głupotę swoją oddziedziczyli od wieków... I posłuchaj, jak inni są żydzi piekarze! Ja mówiłem do nich także. Oni wysłuchali mnie spokojnie i jedno tylko zrobili zastrzeżenie, aby przyszły poseł złożył publiczne zeznanie, że jest wolnomyślny i że wejdzie do koła posłów socyalnych. To są wyrobieni, mądrzy ludzie... ale ja się temu nie dziwię.

— Widzisz, Waldman — odpowiedział Żalecki, bębniąc palcami po stole, co było u niego znakiem zniecierpliwienia — ty następujesz ludziom na odciski, a gdy krzyczą, nazywasz ich spokojnie głupcami; a tych, którzy unikają nadeptywania, ogłaszasz oportunistami. Zadaniem naszem jest nie odpychanie ludzi, odstręczanie, ale jednoczenie.

— Ja jestem tylko za prawdą!

— Swoją własną – uśmiechnął się.

— Ja ci udowodnię, że tak samo mówią: Manifest, Bebel, Liebknecht, Mehring...

— Nie mam czasu i ochoty do sporów... zostawmy to na później... nie widziałeś Walczaka?

— Tak jest, spotkałem go. Ma gości z Królestwa. Jutro chce się rozmówić z wydziałem „Pochodni“ w sprawie ważnej, będzie tu o czwartej.

— Dobrze... będę, a wy, koleżanko?

— Naturalnie.

— Przyjdę i ja — dodał Waldman.

W tej chwili weszli inni członkowie „Pochodni“ i Olga, pożegnawszy się ze Żaleckim, wyszła.

Nazajutrz, przed godziną czwartą, znaleźli się w lokalu „Pochodni“ najpierw z wydziału: Waldman i Schweiger, a pierwszy szczegółowo zaczął opowiadać koledze przebieg swej mowy u czeladników piekarskich, i kończył pytaniem:

— Powiedz sam, Schweiger, czy oni nie są bardzo głupi?

— Ja myślę – odparł zwolna — że oni nie są głupi, kiedy chcą należeć do organizacyi fachowej, tylko głupia jest ich tradycya wiekowa i na tę trzeba uderzać, a nie na nich, bo co oni winni temu?

— Ja z tobą mogę jeszcze przyjść do zgody, ale ze Żaleckim trudniej. Wiesz, Schweiger, mnie się zdaje, że w nim siedzi ciągle patryotnik — zaśmiał się złośliwie.

— Z czego ty to wnosisz? — podniósł na niego zmęczone oczy — bo to zarzut wielki dla socyalnego demokraty.

— On wczoraj radził mi oportunizm i mówił, że nie trzeba drażnić religii i narodowości, a kiedy ja mu powiedziałem, że wszyscy nasi przewódcy są mego zdania, on zbył mnie śmiechem.

— Tę rzecz trzeba wyjaśnić... tu nie idzie o człowieka — przygładził kosmyki swej nierównej brody — ale o podstawowe zasady... My w naszem kółku, musimy wyznawać równe zasady.

Właśnie wszedł Żalecki i trąc zziębnięte ręce, zawołał wesoło:

— Dzień dobry... już radzicie?

— O tobie właśnie – odpowiedział Schweiger, trąc ręce.

— O mnie, beze mnie... tajny sąd nad dożą; no, powiedzcie, o co idzie? — usiadł przy stole, naprzeciw nich.

— Wczoraj mówiłeś mi – zaczął Waldman – że ja niepotrzebnie poruszyłem sprawę religii i narodowości — w tej chwili weszły Olga i Helena, a on, nie przerywając sobie, mówił dalej — z tego wywnioskowałem, że ty wchodzisz w kompromisy z temi kwestyami. Powiedziałem o tem Schweigerowi i my obaj nie rozumiemy...

— Waldman — przerwał mu Schweiger — ty mów tylko za siebie i o sobie.

— Dobrze, niech i tak będzie — spojrzał Waldman na kolegę — więc ja nie rozumiem twego chwiejnego stanowiska wobec zasad naszych — i zwracając się do Olgi i Heleny — dobry wieczór koleżankom.

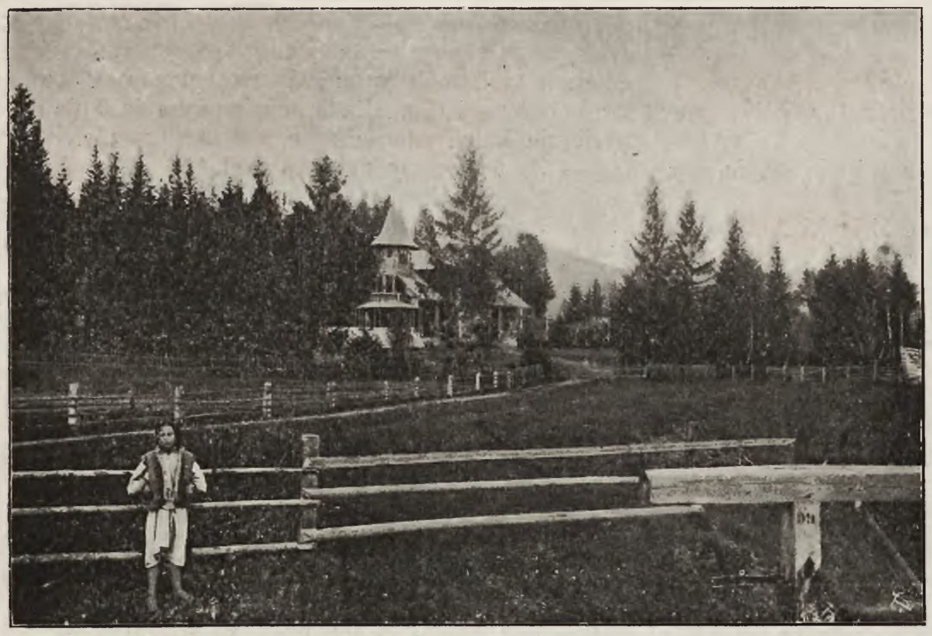
— Dobry wieczór — usiadły przy stole.

— Skończyłeś?... Czy i kolega Schweiger w tej samej sprawie?

— Ja także... bo my musimy pilnować czystości zasad socyalno-demokratycznych.

— Więc mówcie, kolego, odpowiem wam obydwom.. będzie krócej.

Ciąg dalszy nastąpi.



Z Delatyna do Worochty: Mikuliczyn: Willa prywatna.

Z Delatyna do Worochty.

III.

Najbardziej uroczy krajobraz z dotychczas widzianych otwiera się przed naszemi oczyma z chwilą, kiedy, opuściwszy drugi z rzędu tunel, wjeżdżamy w romantyczną dolinę Prutu w Jamnie.

Prut szumiąc obija się tu o skaliste brzegi i tworzy głębizny o szmaragdowym przebłysku, to gniewnie rozbryzguje się i pieni srebrem, rozbijając się o olbrzymie odłamy skał, jakby tajemniczą ręką tytanów w sam środek rzeki rzuconych. Jeden z naszych obrazków przedstawia właśnie taki okruch skały przez jakiegoś cyklopa tutaj ciśnięty. Po obu stronach toru kolejowego otwierają się co chwila zielone doliny, okolone ciemnymi świerkami, to znowu ukazują się grupy drzew szpilkowych z niezmiernym wdziękiem, na głębszem tle sinych gór się malujących. Oko artysty ma tutaj dużo zadowolenia, a nawet rozkoszy. Ileż tu miękich tonów zieleni, jak się pysznie odcinają tła od siebie, jakie bogactwa perspektywiczne otwierają się raz po raz. Skarbiec cały!



Z Delatyna do Worochty: Z widoków w Jamnej: Olbrzymi kamień na Prucie.

Przez otwarte okna wagonu wpada ożywczy prąd powietrza, pełny zapachów żywicy, dziewanny i macierzanki. Oddychasz pełną piersią i z ust wyrywa ci się westchnienie: „Jakże tu pięknie!“

Cała droga, aż do Mikuliczyna, bogata w przepiękne widoki. Mijamy niskie, kurne domki huculskie, a niejednemu przejeżdżającemu przez ten uroczy zakątek nasuwa się myśl, że na dolinie, jednej lub drugiej, prześlicznie wyglądałaby willa lub letni pałacyk.

Dotychczas jest ich tutaj bardzo mało. Wszystkie wille spiętrzyły się w Jaremczu, jedna na drugiej, aż ciasno, aż brak powietrza! tutaj zaś, w Jamnie i na drodze do Mikuliczyna, jest ich zaledwie kilka, może kilkanaście, porozrzucanych malowniczo to z prawej, to z lewej strony toru kolejowego.

Bardzo zajmujący widok przedstawia w tej części drogi, widziany po lewej stronie toru do Mikuliczyna, t. zw. „Kapliwiec“. Jest to prawdziwy wodospad, spadający z dwóch olbrzymich pięter. Po deszczach, kiedy jest obfitość wody, przedstawia się on istotnie pięknie, srebrząc się perlistą strugą, która niby zawiedziona kochanka, szukając śmierci, rzuca się z olbrzymiej wysokości w przepaść.

Na tle tej bujnej wysokości, nie dziwno, że rozwinął się u ludu huculskiego, urocze te strony zamieszkującego, erotyczny pierwiastek jego charakteru. Pełno rozgrywa się tu romansów o podkładzie niejednokrotnie poetyckim, częściej jednak mających cechy grubych namiętności ludzkich, cywilizacyą jeszcze nieokiełzanych. Nie brak też i dramatów rodzinnych, o krwawych epilogach, kończących się przed kratkami sądowemi. Winę tego stanu rzeczy ponosi brak szkół i brak opieki duchownej. Parafie górskie są niezmiernie rozległe i do jednej takiej parafii np. w Mikuliczynie, należy kilkanaście siół, na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych rozrzuconych. Krajobraz rozszerza się. Dostajemy się na wyżynę płaską, na której widnieje większa grupa domów, zszeregowanych w ulice. To Mikuliczyn.

Obok Dolatyna jest Mikuliczyn najstarszem uzdrowiskiem tych górskich okolic. Od dawnych lat wyjeżdżano tutaj „na żętycę“, uważaną dawniej za znakomity środek odżywczy, szczególnie zalecany w chorobach płucnych. Mikuliczyn jest pięknie położony i posiada kilka dolin i spacerów. Za ujemną stronę należy uważać otwarte jego położenie, wskutek czego panują tam często przykre wiatry.

W ostatnich latach pobudowano w Mikuliczynie kilkanaście pięknych will, pięknie się rysujących na tle ciemnych jodłowych lasów. W roku zeszłym stanął tutaj także, ofiarnością publiczną, piękny kościółek polski, pilnie potrzebny dla przybywających tutaj letników, oraz polskiej ludności, osiadłej tu, w tej górskiej mieścinie, z tytułu zawodowego swojego zajęcia. *S. B.*



Z Delatyna do Worochty: Mikuliczyn: Droga w Mikuliczynie:

Szkoła zabawkarska w Jaworowie.

Miasteczko Jaworów, słynne z pobytu tam króla Jana Sobieskiego, który na zabawie mieszczańskiej sam tańczył z kowalową, znane jest skądinąd z przemysłu drzewnego: skrzynie sosnowe, jaskrawo pomalowane i naiwnej roboty zabawki, w najprymitywniejszy sposób dostarczane na rynek lwowski, stanowią poboczne źródło dochodu miejscowej ludności. Pomimo linii kolei żelaznej, wlokącej się środkiem gościńca od Jaworowa do stolicy Galicyi, wyroby jaworowskie transportują się do Lwowa na przygarbionych plecach ogorzałej, wynędzniałej, okurzonej latem, zimą zaprószonej śniegiem — jaworowianki. Baba, przedreptawszy kilka godzin z Jaworowa, obchodzi domy i podwórza, napraszając się ze swym towarem: zachwala z najlepszą pod słońcem wiarą nędzne zabawki, pomalowane jaskrawo stoliki, kołyski, wózki o krzywych kółkach, zaprzągniętych czemś, co ma wyobrażać konia, narzuca „miłosiernej pani“ łyżkę drewnianą, kopystkę lub słomiankę, wyżebrze wszędzie po kromce chleba i wraca do domu w przekonaniu, że świetny zrobiła interes.

Oddawna czyniono próby podniesienia domowego przemysłu w Jaworowie, mądre niemce próbowały zamawiać łyżki cokolwiek nowożytniejsze, przemysłowcy jaworowscy odmówili więc, utrzymując (nie bez pewnej słuszności), że dziady ich i pradziady dłubali takie łyżki i jakoś się jadło i sprzedawało, wobec czego wszelka innowacya jest wyzyskaną. Koszykarze, choć postępowsi, gdyż wyplatają kosze wcale secessyjne, o handlu mają wyobrażenie całkiem wsteczne. — Ile żądasz za kosz? pyta koszykarza agent handlowy. — Ryńskiego, panoczku! Dali Bóg nie drogo, chleb drogi, paszy niema... — Dobrze, odpowiada „panoczek“. A za sto takich koszów ilebyście żądali? — Za sto? powtarza zdziwiony przemysłowiec, za sto... będzie.,. „po ryńskiemu pięćdziesiąt“ od sztuki.

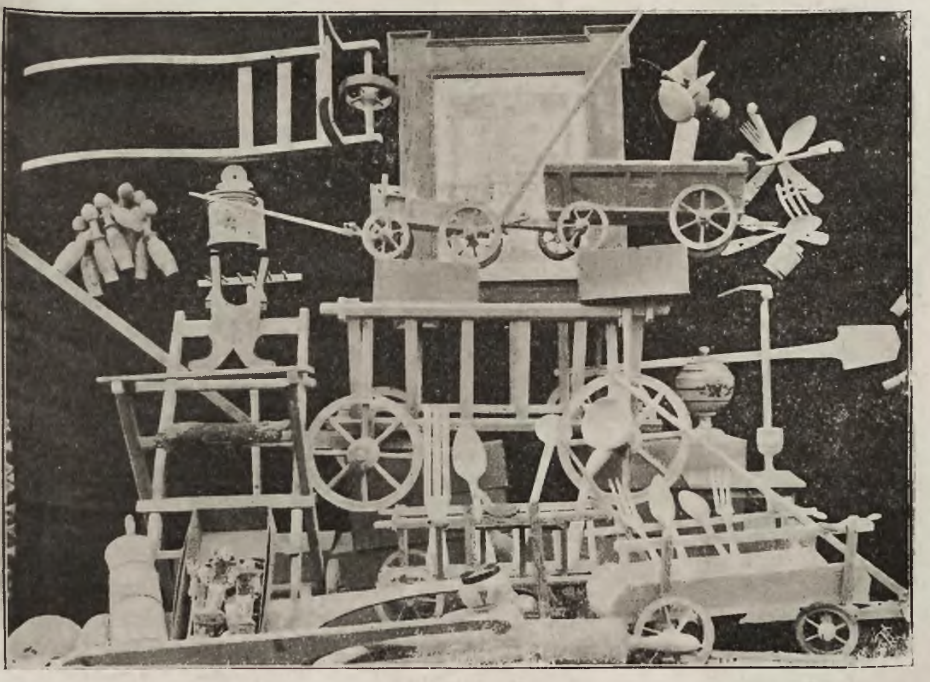


Z Delatyna do Worochty: Z widoków w Jamnej: Kapliwiec.

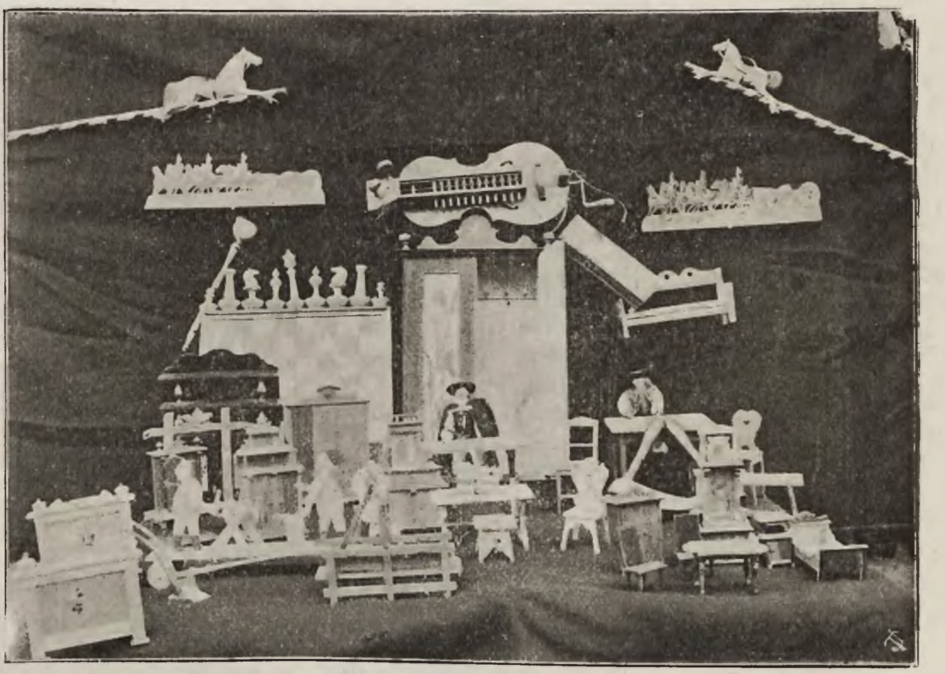
Inaczej dali Bóg nie mogę, chleb drogi, paszy nie ma....

Nie ma z kim gadać! By temu kardynalnemu brakowi zaradzić, Wydział krajowy założył szkołę zabawek i wyrobów drewnianych. Pod doskonałem kierownictwem p. Pawła Prydatkiewicza w przeciągu lat kilku wyrobił się zastęp niepoślednich rzemieślników, których wyroby, ładne i trwałe, rugują stopniowo z miast i miasteczek obcą tandetę. Dziś „szkoła zabawkarska“ jest oczkiem w głowie małych, wielkich i największych jaworowian. Wszystko skupiło się około tej szkoły, dzięki której podnosi się tutejszy przemysł zabawkarski i w ogólności drzewny. Liczba uczniów zdwoiła się w roku bieżącym, tak, że obszerny budynek szkolny zaledwie zmieścić zdoła odpowiednią ilość warsztatów, a i tych zaczyna już braknąć. Przy szkole założono z inicyatywy hr. Jana Szeptyckiego, Towarzystwo handlowo-wytwórcze, którego zadaniem ma być dostarczanie materyałów surowych i wyszukiwanie rynków zbytu. Równocześnie, dzięki ofiarności kilku jednostek stworzono orkiestrę z muzycznie uzdolnionych uczniów szkoły, którzy pod umiejętnem kierownictwem pana Bielohlawka w przeciągu jednego półrocza doszli do nadspodziewanych rezultatów. Dzień 2 lipca był dniem popisu młodej orkiestry. Publiczność jaworowska z wielkiem zadowoleniem słuchała czystej i poprawnej gry młodocianych muzyków.

Na zamieszczonych w dzisiejszym numerze illustracyach, widzimy szkołę zabawkarską, orkiestrę szkolną, oraz kilka zdjęć z wystawy wyrobów uczniów tejże szkoły.



Szkoła zabawkarska w Jaworowie: Z wystawy wyrobów uczniów szkoły.



Szkoła zabawkarska w Jaworowie: Z wystawy wyrobów uczniów szkoły.

Z życia towarzyskiego w Żywcu.

W miastach prowincyonalnych, w których niema teatru, niema koncertów, wogóle nic takiego, coby zdołało zająć i dać mieszkańcom przyjemny wypoczynek po pracy, panują stale nudy, które od czasu do czasu jedynie rozrywa jakaś trupa teatralna, jeżeli tam zjedzie i da kilka przedstawień. Nie patrzy się wtedy na wartość tych sztuk, na grę aktorów, wystarcza sam fakt, że coś grają, a już sala, w której odbywają się przedstawienia, jest zapełnioną. Jeżeli jednak niema nawet teatru, wtedy każdy festyn, każda zabawa, ma wszelkie szanse powodzenia.

Trzeba zaś przyznać, że chociaż zabawy, urządzane przez prywatne komitety obywatelskie lub urzędnicze w miasteczkach prowincyonalnych, są rzadkie i trafiają się zaledwie trzy lub cztery razy do roku, to jednak zabawy te mają wtedy taki szczery, pogodny charakter, ludzie się tam tak bawią ochoczo i wesoło, że o tem w większych miastach, gdzie zabawy takie są na porządku dziennym, nawet mowy być nie może. Tam niema tej sztywności i konwenansów, które w większych miastach krępują zapał żądnej zabawy młodzieży, tam się ludzie bawią, bo czują potrzebę bawienia, bawią się, bo się nadarzyła pora i sposobność po temu.

W ubiegłą niedzielę odbył się w Żywcu, małej mieścinie podgórskiej, wielki festyn w lasku tak zwanym Pawlusia. Czysty dochód z festynu przeznaczony był na budowę nowego kościoła w Zabłociu. Ta okoliczność, jakoteż starania komitetu urzędników kolejowych, urządzającego festyn, zapewniły zabawie z góry już powodzenie. Bawiono się też wyśmienicie. Szczególną uwagę zwracała na siebie „banda cygańska“, doskonale ukostyumowana i ucharakteryzowana. Dochód z festynu był też bardzo znaczny. Festyn zakończył się tańcami przy dźwiękach muzyki 56 p. p. z Krakowa, w sali hotelu Narodowego.

W numerze dzisiejszym podajemy fotografię „bandy cygańskiej“ z festynu, jako obraz, jak się ludzie bawią w zapadłych mieścinach prowincyonalnych.



Szkoła zabawkarska w Jaworowie: Z wystawy wyrobów uczniów szkoły.

Rzadka uroczystość familijna.

Długi wiek w czasach dzisiejszych, kiedy nerwowe życie, sposób odżywiania się i wszystkie warunki, w jakich się człowiek obraca, jakby się zmówiły przeciw niemu, jest rzeczywiście rzadkością. Dzisiaj przeciętny wiek, jakiego człowiek dosięga, wynosi 50 lat. Tem rzadziej zaś spotyka się dzisiaj małżeństwa, które przez ćwierć wieku żyły razem, a już do wyjątków należy, jeżeli się gdzie zdarzy uroczystość podobna, jaka się przed kilku dniami odbyła w Radomyślu nad Sanem.

W niedzielę dnia 16 bm. odbyło się w Radomyślu złote wesele p. Jana Stilgera, myśliwego, liczącego lat 86. Żona jego liczy lat 82, jest więc o 4 lata młodszą od męża. Małżonkowie ci spędzili 50 lat życia razem, przez pół wieku, bo 50 lat minęło 16 lipca br. od dnia ich zaślubin, szli razem przez życie, zdobywając sobie cichą a wytrwałą pracą szacunek i uznanie nietylko wśród swoich krewnych i znajomych, ale w całej okolicy. Małżeństwo ich pobłogosławił Bóg sześciorgiem dzieci, dzisiaj już dojrzałych, będących ojcami i matkami. Ba, synowie ich i córki już mają swoich wnuków. Małżonkowie Stilgerowie patrzą więc teraz ze łzą szczęścia w oku, jak z ich krwi już trzecie wyrasta pokolenie. Rozrzewniający to zaiste widok, kiedy rodzina Stilgerów zbierze się cała razem, jak to miało miejsce przy uroczystości złotych godów. Obok sędziwych małżonków Stilgerów stanęło ich sześcioro dzieci, koło których wieńcem ugrupowało się 34 wnuków i 4 prawnuków. P. Stilgerowie wyglądali wobec nich, jak stara rodzina patryarchów. Patrząc na nich, miało się wrażenie, że się widzi sielankowy, patryarchalny obraz z dawnych czasów.

W uroczystości „złotych godów“. Stilgera i jego sędziwej małżonki, wzięli udział oprócz krewnych, dzieci, wnuków i prawnuków także prawie wszyscy



Szkoła zabawkarska w Jaworowie: Orkiestra szkolna, złożona z uczniów szkoły zabawkarskiej w Jaworowie.



Z życia towarzyskiego w Żywcu: „Banda cyganów“ na ostatnim festynie. Fot. R. Strenger, Żywiec.

mieszkańcy Radomyśla, którzy przez to chcieli dać dowód swej życzliwości i swego uznania dla powszechnym otoczonych szacunkiem sędziwych małżonków. Kościół, w którym się odbyły „złote gody“, był przepełniony, a po wyjściu z kościoła otoczyła sędziwych starców prawdziwa żywa fala ludu, wśród którego przesuwali się małżonkowie Stilgerowie jak patryarcha z małżonką, z obliczem rozjaśnionem pogodą, ze łzami szczęścia w oczach.

Na załączonych w dzisiejszym numerze rycinach widzimy portrety sędziwych małżonków oraz grupę gości, zebranych na jubileuszowej uroczystości, z jubilatami w pośrodku.



Szkoła zabawkarska w Jaworowie: Ogólny widok budynku szkolnego.

Rewolucya w Rosyi.

Płomienie rewolucyi w Rosyi nie zgasły, jakby się na pozór zdawało, ale gorejà ciągle i co charakterystyczne, coraz szersze zataczają kręgi.

W ostatnich tygodniach nie mieliśmy wprawdzie większych zaburzeń w miastach, nie lała się krew robotnicza tak obficie, jak np. podczas rewolucyi w Odessie, gdzie teraz względny zapanował spokój. ale rewolucyoniści nie zasnęli. Nagle, niespodziewanie, jak gromy z jasnego nieba, spadali, siejąc grozę i przerażenie wśród starczych filarów czynowniczego samodzierżawia. Żaden może tydzień nie obfitował w tyle zamachów na najrozmaitsze wysokie osobistości, co tydzień ubiegły. Spełniono co najmniej 15 zamachów, z których większa część uwieńczoną została powodzeniem.

Bunt na „Potemkinie“, który był w dziejach rewolucyi może jedynym w historyi, nie przebrzmiał bez echa. W portach rosyjskich na północy, w Kronsztadzie i Libawie nie ustają do dziś dnia bunty wśród załogi marynarzy. A bunty te przybierają rozmiary nieraz tak groźne, że rząd traci, jak zwykle w takich wypadkach, głowę i zamiast postępować w ten sposób, ażeby ludność uspokoić, dopuszcza się takich nadużyć, że tylko drażni cały naród i wywołuje nowe bunty.

W porcie petersburskim w ostatnich dniach odkryto kolosalne defraudacye. Przekonano się mianowicie, że z pieniędzy, przeznaczonych na budowę nowych pancerników, dotychczas utonęło w kieszeniach czynowników trzy miliony rubli. Faktów takich wychodzi teraz coraz więcej na jaw, a to wszystko składa się na to, że cała Rosya drży z oburzenia. Na razie udaje się rządowi jako tako trzymać przy sterze, ale są to już ostatnie wysiłki.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Moskwie zjazd ziemców. Odbył się, pomimo wyraźnego zakazu policyi, a chociaż potem policya na narady ziemców zezwoliła, to jedynie dlatego, że ziemcy oświadczyli, iż będą obradować, czy będą mieli pozwolenie rządu na obrady, czy nie. Rząd zaś w ostatniej chwili nie odważył się wystąpić z siłą przeciw przedstawicielom ziemstw. Uchwały jakie powzięli ziemcy w czasie narad mają dla przyszłej odrodzonej Rosyi epokowe znaczenie. Przedewszystkiem ziemcy uchwalili domagać się od rządu zwołania parlamentu, wybranego przez powszechne, równe, tajne głosowanie. Ustrój państwa ma być konstytucyjny, oparty na wzorach konstytucyi angielskiej i austryackiej. Kto byłby pomyślał rok przedtem np. że coś podobnego mogą uchwalać ziemcy w Moskwie?

Zaledwie skończyły się obrady ziemców, kiedy nowa sensacyjna wieść obiegła świat cały. Mianowicie w poniedziałek car Mikołaj II. zjechał się na wodach północno-fińskich z drugim autokratą, z cesarzem Wilhelmem II. Zjazd ten ma, jak się zdaje,



Rewolucya w Rosyi: Strejkujący robotnicy z fabryk Putiłowa biją oficera kozackiego, który sam jeden znalazł się przed fabryką.



Rewolucya w Rosyi: Matuszenko, przywódca buntu na „Potemkinie" w otoczeniu marynarzy.

dla rewolucyi w Rosyi kolasalne znaczenie. O czem obaj władcy konferowali, niewiadomo. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że car radził się Wilhelma, co ma zrobić z konstytucyą, czy nadać ją Rosyi, czy nie nadać. Przekonamy się o tem w najbliższym czasie.

Rewolucya płonie w dalszym ciągu, zapał wśród rewolucyonistów wzrasta tem bardziej, im większych gwałtów dopuszcza się rząd. Cisza na polach mandżurskich, chwilowy spokój, przyczynia się do uspokojenia umysłów. Ale to nie na długo.

W numerze niniejszym zamieszczamy szereg epizodów z rewolucyi w Odessie i w Petersburgu.



Rewolucya w Rosyi: Przewiezienie marynarzy z „Potemkina" na ląd w Konstancy.



Rewolucya w Rosyi: Z dni grozy w Odessie: Walki kozaków z robotnikami w magazynach portowych.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

I.

Było to pewnego poranku w lutym.

Przy wysokim oknie, z komfortem urządzonego buduaru, stała baronówna Leontyna Brepont, pogrążona w głębokiem rozmyślaniu. Zaczerwienione oczy wskazywały, że ich piękna właścicielka musiała przed chwilą ronić łzy; wzrok, którym usiłowała przebić tumany śniegu, pędzone zachodnim wiatrem, nosił wyraz wewnętrznego bólu, a pięknie wycięte wargi drżały nerwowo.

„Z każdą chwilą zbliża się rozstrzygająca godzina“ szepnęła z lekkiem drżeniem w głosie baronówna. „Anatol już powinien był się zjawić! Nie wiem dlaczego ten dziwny lęk nie chce mnie opuścić, a jeszcze wczoraj wieczór byliśmy oboje tak szczęśliwi. Czyżby miało go spotkać jakie nieszczęście?

Baronówna była w ślubnej sukni, której ostatnie spięcie dopiero co zapięła garderobiana.

Ojciec jej, pan de Brepont, był jednym z najbogatszych ludzi arystokratycznej dzielnicy Paryża. Pochodząc z magnackiej rodziny, nie uważał za uwłaczające swej godności eksploatować kilku olbrzymich wapienników na prowincyi, które powiększały jego majątek z każdym rokiem. Wcześnie stracił żonę, która pozostawiła mu córeczkę, liczącą obecnie lat dziewiętnaście.

Zakosztowawszy w młodych latach życia, poświęcił się wyłącznie wychowaniu dziecka, które kochał nad życie. Nie było niczego tak kosztownego, coby było za drogiem dla jego pieszczotki. Pierwszy występ jej w świat był tryumfalnym pochodem, bo piękna Leontyna podbiła swym wdziękiem cały zastęp młodzieży, która otaczała stale dziewicę. Żaden jednak nie wzbudził silniejszego uczucia w sercu dziewczyny, która dotychczas nie pomyślała o tem, aby związać swe losy z losami kogoś drugiego. Bogaty ojciec, który miał tylko dobro i szczęście Leontyny na oku, troszczył się o to usilnie, aby córce znaleść męża, któryby odpowiadał marzeniom młodej dziewczyny. Tymczasem nie mógł znaleźć nikogo między wielbicielami baronówny, któryby odpowiadał jego życzeniom.

Pewnego dnia, a raczej pewnego wieczora, nastąpiła jednak zmiana.

Na wieczorze, który zgromadził całą arystokracyę stolicy, poznała Leonia księcia Bligny. Książę mógł liczyć około lat trzydziestu. Odbywał dalekie podróże, na co mu pozwalał jego olbrzymi majątek. Niedawno powrócił do Paryża i stał się punktem atrakcyjnym wszystkich zebrań towarzyskich. Opowiadano o jego szalonej odwadze, której dał dowody podczas swych dalekich podróży. Oprócz tego był to człowiek nadzwyczaj piękny, co przy jego majątku, znakomitem pochodzeniu i romantyczności, która go otaczała, składało się na to, że niejedna z paryskich piękności byłaby z chęcią oddała mu swą rękę i majątek. Brigny utracił już dawno rodziców, którzy posiadali zamek w Tyrienne i po ich śmierci osiadł na stałe w Paryżu, gdzie zajmował ze starym sługą swej rodziny willę w arystokratycznej dzielnicy; tam nagromadził cały zbiór drogich obrazów i innych dzieł sztuki. Podczas kiedy on podróżował, zostawał stary sługa w Paryżu, aby dla swego panicza, który często-kroć przybywał całkiem niespodzianie, utrzymywać w gotowości eleganckie mieszkanko.

Anatol de Bligny poznał w swem życiu wiele kobiet, lecz żadna z nich nie zrobiła na nim takiego wrażenia, aby go mogła na stałe przykuć do siebie i zmusić do noszenia kajdan małżeńskich.

Lecz teraz nadeszła wreszcie ta chwila, bo, jak się zdawało, książę zakochał się w Leontynie Brepont. Jako spadkobierca starożytnego rodu, mógł on patrzeć wyżej, lecz uderzająca piękność Leontyny i coś w jej całej istocie, co go pociągało, skłoniło go do większego zajęcia się nią. Po pierwszem widzeniu się z Leontyną na balu, myślał o niej nieustannie, a nawet wyszeptywał jej imię. Mimo to sądził, że wkrótce o niej zapomni, jak o tylu innych. Lecz wkrótce spotkał po raz drugi Leontynę i ten wieczór rozstrzygnął.

Na drugi dzień oświadczył się oficyalnie baronowi o rękę Leontyny.

Baron de Brepont zdawał się wprawdzie być tem zaskoczony, jednak, jako mądry ojciec, przewidywał już od dawna wszystko i tylko udawał nieświadomość. Po kilku frazesach kazał zawołać służącemu Leontynę, aby jej pozostawić rozstrzygnięcie co do oświadczyn księcia.

Zaledwie dziewica przekroczyła próg salonu ojca, pokrył ciemny rumieniec jej piękne lica. Zamieniła szybkie, wiele mówiące spojrzenie z pięknym młodzianem, którego wzrok z ufnością i miłością objął jej postać i nakryła długiemi rzęsami swe modre oczy.

W parę chwil później była już w objęciach księcia, a ojciec błogosławił drżącym głosem, bo sądził, że to małżeństwo zapewni szczęście jego kochanej jedynaczce. Nie przeczuwał, ile bolu i udręczeń spadnie na Leonię z powodu tych zaręczyn.

Zaręczyny młodej pary doszły wnet do powszechnej wiadomości, bo o to postarał się baron de Brepont, który codziennie stawał się dumniejszym ze swego zięcia, gdyż mu go powszechnie zazdroszczono. Nie miał także nic przeciw temu, by ślub odbył się jaknajprędzej, a najwykwintniejsze magazyny paryskie pracowały bez wytchnienia nad wyprawą Leontyny.

Baron nie uważał za konieczne zajmować się przeszłością księcia, albo jego stanem majątkowym. Dla niego wystarczało, że zięć jego pochodził ze starożytnej rodziny, kochał Leonię i nawzajem był kochany. Nawet bez majątku, ba, — nawet chociażby tylko obdłużonego, widziałby zawsze chętnie w Anatolu swego męża.

Leontyna była podczas krótkiego czasu narzeczeństwa nad wyraz szczęśliwa. Książę kazał urządzić swą willę na przyjęcie młodej małżonki i do tego małego raju miała wejść Leontyna, jako księżna de Bligny. Liczna służba miała dopiero w dniu ślubu stawić się do willi do objęcia obowiązków. Aż do tego czasu miał sam książę wraz ze swym starym służącym kierować urządzeniem pałacyku.

Leontyna nie mogła nawet marzyć o idealniejszym narzeczonym. Codziennie podjeżdżał swym elegackim powozikiem i przywoził najdroższe i najrzadsze kwiaty, które składał u stóp swej ukochanej.

Także baron de Bepront formalnie odżył, odkąd ze wszech stron zaczęto mu zazdrościć projektowanego małżeństwa. Nic nie słyszał złego o księciu, przeciwnie, każdy był nim poprostu oczarowany.

Połowa lutego była wyznaczona na dzień ślubu.

Obrzęd miał się odbyć w kościele „Notre Dame“ i przeszło pięćdziesiąt powozów otrzymało rozkaz przewiezienia gości do wspaniałego pałacu barona Brepont.

Płateczki śniegu, podobne do drobniuchnych gwiazdeczek, wirowały w powietrzu, pokrywając gzymsy i ginąc w błocie ulicy. Mimo śniegu poranek był jasny i zapowiadał piękny dzień. Leontyna oczekiwała przybycia narzeczonego, bo chociaż pozostawało godzinę czasu do odjazdu do odbycia ceremonii, to przecież Anatol przyrzekł, że zjawi się wcześniej. Przytem miał tak szczęśliwy wyraz twarzy, że piękna narzeczona nie mogła wyjść z podziwu, że oznaczony przez Anatola czas już minął, a on się dotąd nie zjawił.

Baron z gardenią w butonierce i ozdobiony kilkoma orderami, których udzielił mu książę Monaco, w nagrodę wielkich usług, jakie mu baron oddał, biegał po całym domu, witał wolno nadchodzących gości, błyszczał formalnie od szczęścia. Jakże się przeto zadziwił, kiedy, wszedłszy do buduaru córki, zobaczył jej zaczerwione oczy. W wspaniałej sukni stała narzeczona przy oknie i obróciła się szybko, usłyszawszy kroki. Lecz jakżeż się rozczarowała, zobaczywszy przed sobą, zamiast narzeczonego, swego ojca.

Baron podszedł ku niej i ujął ją za ręce.

Odrazu znikł wyraz szczęścia z jego twarzy. Wpatrywał się pełen troski w Leontynę i jąkał:

— Mój Boże, cóż się z tobą dzieje, Leontyno? Spodziewałem się zastać cię wesołą i szczęśliwą, a zamiast tego widzę, że płakałaś! Cóż się mogło takiego wydarzyć?

Łkając, rzuciła się Leontyna na piersi ojca.

— Ginę z trwogi o Anatola! — szeptała. — Już przeszło od kwadransa stoję przy oknie i wyglądam go. Tyle już powozów nadjechało, a jego niema i niema. Oby tylko nie spotkało go jakie nieszczęście!

Baron uwolnił się lekko z objęcia córki i poprowadził piękną narzeczoną do stołka. Odetchnął ciężko, jakby kamień spadł na jego piersi, a on chciał się od niego uwolnić.

— Jeżeli to tylko cię niepokoi, Leonio, to mogę być spokojny. Twe nerwy są zbytnio rozstrojone skutkiem szczęścia, którego zaznałaś! Książę mógł wprawdzie być już obecnym, jak to wczoraj obiecał, ale jego nieobecność nie daje przecież powodu do takiego zaniepokojenia. Mogło go coś zatrzymać, bo i szczęśliwy narzeczony może się także spóźnić.

Baron myślał, że jego śmiech znajdzie odbicie na licu córki, lecz napróżno.

Leonia potrząsła smutno główką.

— Tak, ojcze, ale cóż robić, że ten niepokój staje się coraz większy! Powinniśmy posłać służącego do Anatola.

— Ależ to jest niemożliwe, Leonio — odpowiedział baron. — Cóżby pomyślał Anatol! Jakże możesz nawet przypuszczać, że go spotkało nieszczęście! Człowiek taki jak on, który tysiące razy zaglądał w oczy ludożercom i tylokrotnie zaglądał w oczy śmierci, znajdzie przecież sam drogę ze swego pałacu do nas bez żadnego wypadku! Mamy jeszcze pół godziny czasu do oznaczonej godziny, a ja ręczę ci, że Anatol w dziesięciu minutach będzie już u nas. Na płacz będzie dosyć czasu przed ołtarzem, gdy kapłan połączy wasze ręce; a teraz wesel się znowu, Leonio, i zapomnij o trosce męczącej cię z powodu Anatola! Także on będzie się śmiał, kiedy dowie się, jak się trwożyłaś o niego!

Baron ucałował czoło córki i przystąpił do okna. Z powozu, który właśnie zajechał, wysiadło dwóch gości weselnych, lecz księcia między nimi nie było.

Pocieszywszy jeszcze córkę kilkoma słowami, udał się baron do wspaniale urządzonych salonów, w których zaproszeni goście oczekiwali pojawienia się młodej pary.

Nioobecność narzeczonego nie uderzała nikogo, gdyż sądzono powszechnie, że bawi u narzeczonej.

Baron zmieszał się z gośćmi, którym bogato ubrana służba podawała napoje rzeźwiące, lecz co chwila spoglądał na zegarek i coraz bardziej poczynał się niecierpliwić, gdyż pozostawał już tylko kwandrans czasu.

Wtem spytał jeden z gości o księcia, gdyż było to uderzającem, że narzeczony nie daje się widzieć.

Baron oświadczył na to, że jego przyszły zięć się jakoś spaźnia, lecz lada chwila go oczekują.

Znowu upłynęła chwila gorączkowego oczekiwania. Baron pospieszył do córki, lecz na schodach spotkał jej garderobianą, która mu oznajmiła, że Leonia popadła w lekkie omdlenie. Przerażony wpadł w kilku skokach do buduaru ukochanej swej córki i znalazł ją w objęciach rzeźwiącej ją sługi.

— Leontyno, me dziecię — zawołał i przypadł do otomany, na której, wśród chmury koronek, spoczywała Leonia.

W tej chwili omdlenie minęło i Leonia otworzyła swe piękne oczy.

— Czy już przybył, ojcze? Prawda, że ja napróżno tak strasznie się o niego trwożyłam!

Baron byłby chętnie skłamał, lecz Leonia byłaby mu nie uwierzyła, bo twarz jego powiedziała jej całą prawdę.

Nagle wyprostowała się i obie jej ręce spoczęły na ramionach ojca.

— Jego niema! Musiało mu się więc coś złego stać! Czyż nie przysłał żadnej o sobie wiadomości?

Baron potrząsnął smutno głową i rzekł:

— Poślę natychmiast do niego służącego i w dziesięciu minutach będziemy mieli pewność.

Leontyna uczuła nagle straszny niepokój, podniosła się i odprawiła garderobianą.

— Ojcze! będę się starała być zupełnie spokojną i czekać pewnej wiadomości — rzekła.

W tej chwili usłyszała głos dzwonu z pobliskiego kościoła „Notre Dame“, wydała cichy jęk i chwyciła się obiema rękami za serce.

— Godzina naszego ślubu — wyszeptała.

Baron spieszył na dół, lecz ledwie doszedł do połowy schodów, gdy spostrzegł posłańca, stojącego przed nim z czapką w ręku.

Służący przyprowadził go aż tutaj i rzekł do barona:

— Przepraszam jaśnie panie. Ten człowiek przyszedł właśnie i chce kasetkę jakąś oddać pannie baronównie.

Baron Brepont zmarszczył czoło i popatrzył niechętnie na posłańca.

— Co to ma znaczyć? — zapytał — jeżeli masz oddać jakiś podarek, lub coś podobnego, to możesz to i tu również załatwić!

Posłaniec odpowiedział:

— Racz pan łaskawie darować, panie baronie, lecz ja otrzymałem surowy i stanowczy rozkaz oddać tę szkatułkę tylko do rąk jaśnie baronównej Leontyny de Brepont.

— Kto was posyła? — spytał baron, coraz więcej zaniepokojony.

— Nie znam tego pana — odpowiedział posłaniec. — Kilka kroków od kościoła „Notre Dame“ przystąpił do mnie jakiś pan, otulony czarnym płaszczem i spytał, czybym nie odniósł tutaj natych

miast tej szkatułki. Ponieważ to jest mojem zajęciem, zgodziłem się naturalnie, lecz musiałem mu przedtem zarę zyć, że spełnię jego rozkaz co do joty.

Nagle błysnęła pewna myśl baronowi. Może książę przysyła sam tę szkatułkę! Bardzo możliwe, że znajdują się tam jakieś papiery, albo inne jakieś tajemnice.

Po krótkim więc namyśle odpowiedział:

— Chodź za mną!

Poszedł naprzód i udał się napowrót do buduaru córki, która go wyczekiwała niecierpliwie. Zdawało się, że Leontyna nadludzkim wysiłkiem zmuszała się do spokoju. Zaledwie dowiedziała się o dziwnem poleceniu, jakie otrzymał posłaniec, zabłysły jej oczy febrycznie.

— Musimy natychmiast otworzyć szkatułkę, ojcze. Jestem przekonaną, że wewnątrz znajdziemy rozwiązanie zagadkowej nieobecności Anatola.

Na skinienie barona, odwinął posłaniec dość dużą szkatułkę, owiniętą w ciemne sukno, postawił ją na małym stoliku i rzekł:

— Nieznajomy wręczył mi również mały kluczyk, który mogę doręczyć tylko samej baronównie.

Baron oglądał tymczasem zagadkową szkatułkę. Była ona około 20 cm. wysoka i stała na dwóch rzeźbionych nóżkach, przypominających pazury tygrysie.

Szkatułka była prawdopodobnie z drzewa, czego jednak nie można było na pewne utrzymywać, bo wiek i niezliczona ilość dziwnych malowideł, znajdujących się na wieczku i bokach, nadawała mu dziwny wygląd. Właściwie można było szkatułkę uważać za czarną, bo malowidła występowały na niej bardzo blado. Można ją było uważać za robotę hiszpańską i baron przypomniał sobie, że zwiedzając Alhambrę, widział podobne rysunki na ścianach tej sławnej maurytańskiej budowli.

Leontyna chwyciła mały kluczyk i oglądała go przez chwilkę. Palił jej ręce, jak ogień. Jakaś tajemna trwoga zakazywała jej otwierać zamek, z drugiej zaś strony było to prawie dla niej niemożliwem odesłać szkatułkę, nie przekonawszy się o jej zawartości.

Posłaniec, oddawszy kluczyk, cofnął się skromnie i rzekł:

— Panie baronie, wypełniłem dane mi zlecenie i mogę się oddalić.

Baron de Brepont skinął głową.

— Każ sobie memu kamerdynerowi dać specyalne wynagrodzenie. Dzisiaj święto w mym domu.

— Serdecznie dziękuję, panie baronie — odpowiedział posłaniec i oddalił się, ukłoniwszy się kilkakrotnie.

Brepont znalazł się sam na sam z Leontyną. On także doznawał dziwnego lęku, ile razy spojrzał na czarną szkatułkę.

— Od kogo może ona pochodzić? — usłyszał nagle ciche pytanie Leontyny.

Zamienił z nią spojrzenie, wzruszywszy przytem lekko ramionami.

— Od Anatola, z pewnością od Anatola — zawołała gwałtownie Leontyna i silny płomień przeleciał przez jej lica. Jeszcze chwila, a młoda, biało ubrana narzeczona położyła lewą rękę na czarnym wieku szkatułki, podczas gdy prawą wsadzała kluczyk do małego zameczka. Trzasło i szkatułka stała otworem. Nachyliwszy się lekko, podniosła Leontyna wieczko.

Baron przystąpił bliżej i przypatrywał się razem z córką zawartości szkatułki.

Na wierzchu leżał list, który Leontyna natychmiast wyjęła. Oprócz niego leżał w szkatułce jakiś szczelnie zawinięty przedmiot.

— Czyż nie przeczytasz listu, Leontyno? — zapytał trwożnie baron, bo, jak słusznie przypuszczał, list musiał zawierać z pewnością rozwiązanie zagadki, lecz on nie mógł wiedzieć, jak ono brzmiało!

Ścięte wargi Leontyny zadrżały lekko. Nie odezwała się ani słowa, lecz skinęła zezwalająco głową, o ojciec podał jej srebrny nóż do otwierania listów.

Drżącą ręką wyciągła wąski papier i rozłożyła go. Energiczne pismo odbijało od delikatnego papieru. Z szeroko otwartemi oczyma czytała Leontyna de Brepont następujące słowa:

„Dzisiejszego rana oczekuje Pani ręki księcia de Bligny! Oto ona! Wiele szczęścia w małżeństwie!“

Leontyna zmartwiała, przeczytawszy te słowa.

Brepont strwożony zbliżył się do niej i spytał niespokojnie:

— Jakiej wiadomości ci udzielono, dziecię?

Leontyna przesunęła prawą ręką po czole i odrzekła zmieszana:

— Czytaj sam, ojcze, ja nie wiem, co to ma znaczyć! Czego oni chcą odemnie?

Baron przebiegł sam oczami list. Jego twarz już przedtem blada, pokryła się śmiertelną bladością i przerażony upuścił list, patrząc przytem szeroko rozwartemi oczyma w czarną sztatułkę, stojącą na środku stołu.

Leontyna zdawała się istotnie nie pojmować, co miała znaczyć ta wiadomość, bo wykrzyknęła głośno:

— Dlaczegoś taki przerażony, ojcze? Piszą mi, że otrzymam dzisiaj rękę Anatola, lecz gdzież on? Ja go przecież nie widzę!

Baron chciał mówić, lecz tylko niewyraźne dźwięki przeciskały się przez jego wargi, przytem drżał cały i mógł tylko wskazać na czarną szkatułkę.

Leontyna widziała, jak jej ojciec upadł na krzesło i wiedziona nagłą myślą, wyjęła z kasetki w jedwab owinięty przedmiot. Odwinęła zasłonę i zauważyła, że w niej leżał pakiet, owinięty ciemnym jedwabiem.

Baron Brepont podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać Leonię, lecz w tejże samej chwili zdarło dziewczę i tę zasłonę.

Zaledwie to uczyniła, cofnęła się z krzykiem wstecz. Stanęła sztywno przy stole, wyciągnęła jednak obie ręce z szeroko rozpostartymi palcami przed siebie, podczas gdy na jej twarzy malowało się przerażenie i groza.

Teraz podniósł się i baron, a jego oczy uderzył straszny widok.

Na stole leżała ludzka ręka, oddzielona od ramienia w przegubie. Białe, długie, wąskie palce leżały na ciemnym tle jedwabiu. Na środkowym palcu błyszczał bogaty brylant, rozszczepiający światło, padające snopami od okien. Pierścień ten mógł należeć tylko do księcia de Bligny!

Takie więc było tłómaczenie tego dziwnego listu!

Leontyna Brepont czekała wprawdzie na rękę księcia, lecz nie przeczuwała, by ją w ten sposób miała otrzymać! Długą chwilę stała, jak skamieniała ze zgrozy i przerażenia! Także baron oparł się obydwoma rękami o stół i stał tak bez głosu, patrząc szklistym wzrokiem w martwą rękę.

— Ręka Anatola! — krzyknęła nagle strasznym głosem Leontyna. — Zamordowano mi go! Już go więcej nie zobaczę!

Baron, wyrwany tym rozpaczliwym krzykiem z osłupienia, chciał chwycić w ramiona swe dziecię, ale już było zapóźno.



— Leontyno, me dziecię — zawołał i przypadł do otomany, na której, wśród chmury koronek, spoczywała Leonia.

Jak ugodzona śmiertelnym ciosem, padła, obrana ze swych najpiękniejszych nadziei, na ziemię.

W kwadrans potem zaległa śmiertelna cisza odświętnie przybrany pałac barona.

Wszyscy goście opuścili spiesznie pałac, dowiedziawszy się od bladego jak śmierć barona, że jego córka zachorowała i ślub musi być odłożony. Nieobecność księcia dawała wielkie pole do domysłów, lecz nikt nie mógł wiedzieć, co właściwie zaszło. Z pomięszania służby wnoszono, że musiało zajść coś strasznego i z tego wnoszono, że w ciągu dnia dowiedzą się bliższych wiadomości.

II.

O godzinie 10 rano miał się odbyć ślub księcia de Bligny z Leontyną de Brepout w kościele „Notre Dame“. O godzinie 11 wsiadł szef paryskiego biura bezpieczeństwa do zamkniętej karetki i kazał się zawieźć do pałacu barona Brepont. Już przedtem udał się tam lekarz sądowy, mer i dwóch komisarzy policyjnych. Szef policyi, wszedłszy do pałacu, zastał już tam lekarza i urzędników policyjnych. Tymczasem służba zrzuciła już złotem szyte liberye i przywdziała czarne.

Mer pomówił kilka słów z szefem policyi i wszyscy czekali na przybycie ciężko dotkniętego barona. On sam bowiem zawiadomił telefonicznie policyę o strasznej zbrodni. Nie wiedziano wprawdzie, dobrze, co się stało, gdyż baron, strasznie wzburzony, telefonował niejasno, lecz sama wiadomość o morderstwie i odciętej ręce, wystarczała do zaalarmowania policyi.

Niedługo ukazał się baron. Przez te kilka dziesiąt minut postarzał się o lata całe. Młodzieńcza świeżość jego lic zmieniła się w zgrzybiałość starczą, a nawet ubiór, o który przedtem tak bardzo dbał, nosił cechy zaniedbania, bo biały krawat przekręcił się całkiem na bok, a rzedziejące włosy były w strasznym nieładzie.

— Widzicie mię, panowie — zaczął ciężkim głosem — strasznie przygnębionym. Nie wiem, w jaki sposób mogło się stać coś tak strasznego, z czego nie mogę wybrnąć, chociaż dosyć nad tem nałamałem sobie głowy, bo wypadek ten podziałał na mnie tak, jakby piorun uderzył z jasnego nieba. Dopiero wczoraj siedział u mnie uśmiechnięty i ja sam odprowadziłem go aż do stopni powozu, a dzisiaj?!

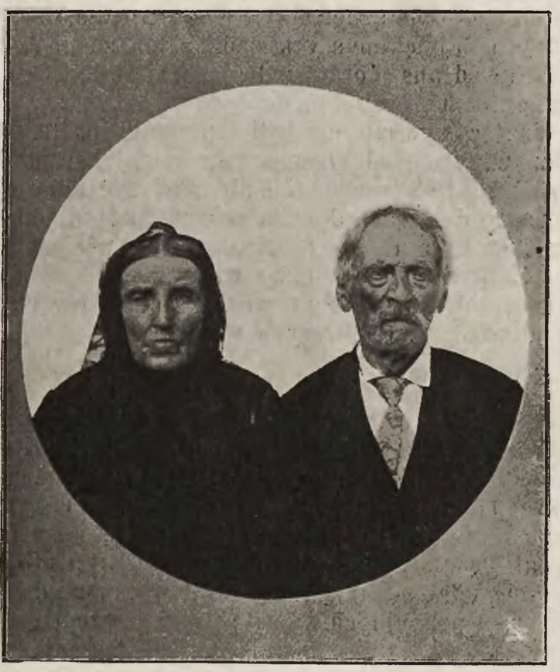
Baron mówił niejasno, lecz nie można mu było brać za złe, bo jego zewnętrzny wygląd wskazywał na straszny cios, który uderzył w dom jego.

Z trudem dopiero udało się komisarzowi wydobyć z niego bliższe wiadomości.

Brepont opowiadał, często sobie przerywając głębokiem westchnieniem, wypadki dzisiejszego poranka. Dopiero, gdy doszedł do nieszczęsnego listu i zawartości czarnej szkatułki, poczęli się urzędnicy, którzy słuchali dotąd obojętnie, coraz bardziej interesować.

— Czy pan się nie domyśla, panie baronie — zapytał szef — kto może być nadawcą tej szkatułki?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Rzadka uroczystość familijna: Jan Stilger wraz z małżonką. (Treść na str. 7).



Krwawy odwet robotników lwowskich na łamistrejkach: Strejkujący robotnicy budowlani we Lwowie, biją łamistrejków.

Krwawy odwet robotników lwowskich na łamistrejkach.

Robotnicy nasi, wyzyskiwani przez pracodawców niemal na każdym kroku, rozumieją dobrze, że jedyną ochroną przed nielitosnym wyzyskiem jest wspólne działanie. Jeżeli pójdą razem i zgodnie postawią warunki, wówczas pracodawca zmuszony będzie ustąpić przed słusznemi żądaniami. Kiedy jednakże chlebodawca nie myśli o polepszeniu doli robotnika, wówczas wszyscy zaprzestając pracy, zmuszają tem samem upornego pracodawcę do ustępstw. Podczas ogólnego strejku, znajdują się jednostki, które nie zważając na to, że wskutek podjęcia się pracy psują interes wszystkich, rozpoczynają pracę na nowo.

Ci właśnie zasługują na napiętnowanie, oni też są głównym przedmiotem nienawiści ogółu.

Przed paru dniami odbyło się zgromadzenie we Lwowie, na którem postanowiono wytrwać w strejku.

Niezadowoleni robotnicy, zebrali się w znacznej liczbie, by zademonstrować przeciwko chlebodawcom.

Nagle oczy ich dziwny uderzył widok. Na terytoryum toru wyscigowego cyklistów, pracowało trzech cieśli około wzniesienia trybuny. Robotnicy ci nie należeli do strejku.

Rozwścieczony tłum, nie spodziewając się czegoś podobnego ze strony robotnika, przedarł się na tor wyścigowy i z krzykiem oburzenia na ustach, rzucił się na pracujących. Rozpoczęła się straszna walka, bo łamistrejkowcy ustąpić musieli przed przeważającą liczbą. Zlanych krwią, poturbowanych, wyrwało dopiero z objęć tłumu paru członków kolarzy. Jednego z robotników areszto-



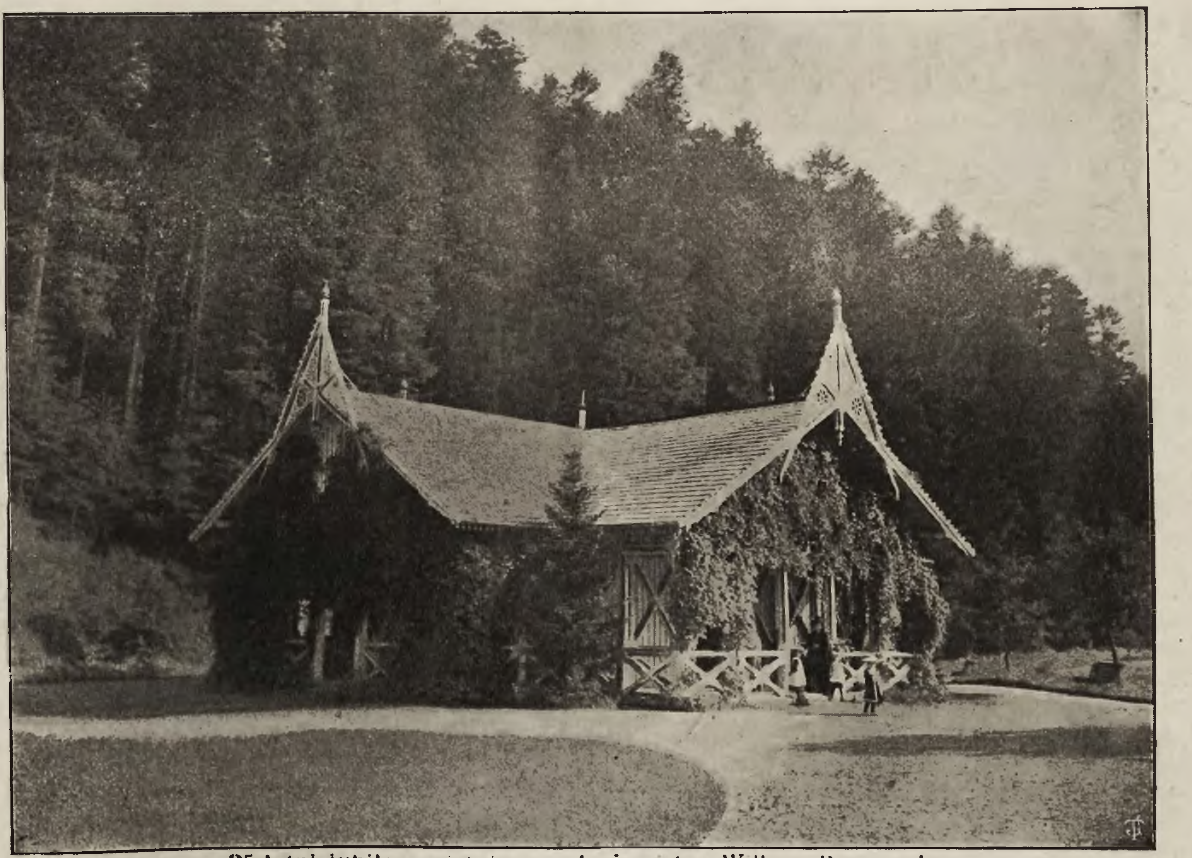
Rzadka uroczystość familijna: Grupa gości, zebranych na uroczystości „złotych godów" z p. Stilgerem i jego małżonką w środku. Fot. M. Todt. Przemyśl.

wano. Odprowadzano go właśnie na inspekcyę, gdy tłum pośpieszył za nim i po krótkiej walce aresztowanego odbito. Część napastników zaatakowała urząd akcyzowy, dokąd schronili się dwaj cieśle. Posypał się grad kamieni, wszystkie szyby wybito. Dopiero interwencya policyi, którą zawezwano telefonicznie, położyła kres krwawym ekscesom.

25-letni jubileusz istnienia zdrojowiska.

W ziemi sanockiej, bogatej w piękne widoki, za których tło służy pasmo Karpat, leży urocze miejsce kąpielowe, od sąsiedniego miasteczka Rymanów zwane. Lat temu dwadzieścia pięć wstecz pasło się w miejscu tem bydełko, a ludność okoliczna piła ropę jako lekarstwo na różne dolegliwości w przekonaniu, że skutkowało i roznosiła sławę cudownej wody wszerz i wzdłuż.

Właścicielką obszarów tej ziemi, na których źródła te się znajdowały, była Anna z hr. Działyńskich hr. Potocka, która, mając dobre serce, zbudowała dla chorych wieśniaków szpital, by nie potrzebowali czy to zdala czy z bliska trudzić się chodzeniem do uzdrawiającego źródła; w szpitalu tym sama codziennie odwiedzała, pocieszała i karmiła chorych, a sława o „dobrej hrabinie“ rozchodziła się w dalekie strony.



25-letni jubileusz istnienia zdrojowiska: Willa w Rymanowie.

Lat temu 25, chemik z pobliskiego miejsca,



25-letni jubileusz istnienia zdrojowiska: Widok na kolonie lecznicze.

nazwiskiem Tytus Sławik, na życzenie hr. Stanisława Potockiego i małżonki jego hr. Anny, dokonał rozbioru chemicznego dwunastu zdrojów i ujął je sztucznie w trzy główne źródła.

W ten sposób położono podwaliny pod wspaniały Zakład zdrojowy, dziś nietylko co do zawartości mineralnych składników, któremi przewyższa podobny zdrój Kissingen, ale i nader pięknem, uroczem położeniem, wzorowem utrzymaniem całego zakładu, złożonego z licznych will, własność hr. Jana Potockiego stanowiących, w balneologii krajowej jedno z najpierwszych miejsc zajmujący. Jest jednak ogromna różnica między Rymanowem a Kissingen, różnica, która niczem nie da się usunąć. Różnica ta polega na tem, że Kissingen położone jest zagranicą. Ta okoliczność starczy za wszelaką reklamę, by unikać, tego, co nasze, choćby ono najzdrowszem i najskuteczniejszem było, a wzbogacać naszym groszem i kieszenie napełniać zagranicznym milionerom, by mieli na wykupno ziemi z rąk polskich i na inne podobne patryotyczne cele, podczas gdy nasze uzdrowiska, w które przyroda hojnie kraj nasz wyposażyła, bądź upadają, bądź walczą ze stałym niedoborem a to skutkiem braku u nas najprymityvniejszych zasad patryotyzmu, popierania tego, co kraj nasz posiada.

Odnośnie do Rymanowa, to coraz bardziej rozwija się ten zakład, gdyż właściciel obecny nie szczędzi olbrzymich wysiłków na podniesienie i podtrzymanie na wyżynie zadania ojcowizny swej, a publiczność z roku na rok przekonuje się o zbawiennych skutkach jodo-bromowych i innych zaletach wód rymanowskich. Z czasem Rymanów może zdołą wyprzeć niewiarę we własne nasze siły, a wówczas Kissingen i inne zagraniczne bady przestaną na swych listach kąpielowych wyliczać setki a nawet tysiące najlepszych swych gości, z kraju naszego pochodzących.

Jest to już jedną z naszych największych wad narodowych, że nie doceniamy tego, co mamy wśród nas i że lecimy zawsze na lep reklamy u obcych. Ba, u nas, jeśli się powie, że wakacye spędziło się np. w Krynicy, to napotka się bardzo często jedynie uśmiech lekceważenia. — „W Krynicy? — pyta pani radczyni. — Myśmy były w Karlsbadzie. Do Krynicy jeździ teraz sama zbieranina. Człowiek szanujący się wyjeżdża za granicę“. W ten sposób można scharakteryzować nasze niedojrzałe zapatrywania na uzdrowiska. „Cudze chwalicie, swego nie znacie“, powiada przysłowie. I bardzo słusznie. Bo gdyby szukający odpoczynku w niemieckich „badach“ zjeżdżali do naszych krajowych uzdrowisk, to te uzdrowiska nie ustępowałyby onym „badom“, ale niejednokrotnie by je przewyższyły.

W roku bieżącym do dnia 15 lipca liczył Rymanów 1524 kuracyuszów, co w porównaniu z cyfrą tego samego czasu ubiegłego roku 1392, przedstawia przyrost 132 osób.

Chlubą Rymanowa jest kolonia lecznicza, której rokrocznie zawdzięcza około półtorej setki dziatwy lwowskiej uzdrowienie i życie.

Ryciny nasze przedstawiają rozmaite widoki Rymanowa, dostarczone nam przez amatora-fotografa p. Bolesława Szydłowskiego ze Lwowa.



25-letni jubileusz istnienia zdrojowiska: Dom zdrojowy w Rymanowie.

Ze świata

(Nożowcy w Krakowie. — Czy jesteśmy gorsi od innych? — „Apasze“ w Paryżu, „hooliganse“ w Londynie, „Pennbrüdery“ w Berlinie i t. d. — Rzezimieszki petersburscy sojusznikami rządu. — Tytoń i wódka dla nieletnich. — Sprytna kradzież obrazów).

Prawie równocześnie rady miejskie w Wiedniu i Krakowie zajmowały się na swoich posiedzeniach sprawą bezpieczeństwa publicznego z powodu zbyt częstych napadów, które urządzają nożowcy nad Wisłą i Dunajem na spokojnych przechodniów. Przy tej sposobności prasa wiedeńska oświadczyła, że przedmiejska ludność stolicy austryackiej jest nadzwyczajnie zdziczałą, a podobny sąd o pewnych warstwach ludności krakowskiej wydały tutejsze dzienniki. Że liczba policyantów i wogóle służby bezpieczeństwa publicznego w Krakowie jest niewystarczającą, na to już dzisiaj wszyscy się godzą, ale żeby ludność tutejsza była gorszą, więcej zdziczałą od ludności innych miast, na to niema wcale dowodów. Każde bez wyjątku wielkie miasto ma swoje „ciemne egzystencye“, ludzi, którzy zawodowo uprawiają rozboje i kradzieże, ma więc także Kraków podobne indywidua.

Paryż, stolica ucywilizowanego świata, posiada osławione bandy „apaszów“, którzy kradną i mordują, często tylko tak sobie dla uciechy, nie tylko na przedmieściach, ale nawet w najruchliwszych dzielnicach miasta. Każda banda paryskich rzezimieszków jest znakomicie zorganizowaną, a członkowie jej mają na ramieniu lub piersi wytatuowaną odznakę wspólną. Każda prawie z tych band ma dziewczęta, które w ich sidła zwabiają upatrzone ofiary. Niektórzy apaszowie używają nawet „lassa“, chwytając bardzo zręcznie w pętlę przechodnia. Nieletni przestępcy, liczący od 8 do 15 lat życia, tworzą osobne bandy, trudniące się zazwyczaj tylko kradzieżą, chociaż zdarzało się, że tacy wyrostkowie nożem uprzątali niewygodną osobę. Znane są policyi paryskiej bandy nieletnich rzezimieszków, zorganizowane wyśmienicie. Jedna z nich ma nazwę „lubowników księżyca“, druga „czerwonych świń“ Na czele tej drugiej bandy stoi piętnastoletni wódz, który jest rudy i sam siebie nazywą „czerwoną świnią“. Do najniebezpieczniejszych band, które się składają z dorosłych złoczyńców, należą wspomniani już „apaszowie“, tudzież „coers d'acier“ (stalowe serca).

Londyn nie ustępuje wcale pod tym względem Paryżowi. Może tamtejsze bandy „pracują“ mniej efektownie; ale mordują i kradną równie dobrze jak ich siostrzane organizacye nad Sekwaną. Londyńscy rzezimieszkowie, zwani „hooligans“, mają ustaloną sławę, a nieletni przestępcy posługują się wybornie nożami, rewolwerami i bokserami. W dzielnicach Bethnal-Green, Hoxton, Shoreditch i Hakney policya wobec opryszków jest bezsilną. Często już o zmroku wpada taka banda do sklepu, zabiera z lady pieniądze, niszczy dla uciechy towary i w jednej chwili znika. Często właściciel splądrowanego sklepu zna członków bandy, ale boi się ich zemsty i milczy wobec policyi.

Nie lepiej dzieje się w Berlinie, gdzie naprzykład w Grunewaldzie spokojnych przechodniów obdzierają w biały dzień rozwydrzeni łatwą zdobyczą włóczęgi. Istnieją w Berlinie dzielnice, do których nie śmie zaglądnąć żaden przyzwoicie odziany przechodzień, gospodarują tam bowiem osławieni opryszkowie znani pod nazwą „Pennbrüder“ albo „Latcher“. Są także w stolicy Prus bandy nieletnich przestępców, które często nawet z policyą staczają walki, broniąc się rozpaczliwie.

W Petersburgu bandy rzezimieszków dostąpiły obecnie tego zaszczytu, że posługuje się nimi rząd. Minister spraw wewnętrznych smutnej pamięci Plehwe, który zginął od bomby, zapewnił całym rzeszom indywiduów z pod ciemnej gwiazdy zupełną bezkarność, używając ich do walki przeciwko robotnikom, rewolucyjnie usposobionym Indywidua te, podszywając się pod nazwę robotników, popełniali kradzieże i mordy, denuncyują uczciwych ludzi i dają w ten sposób upragnioną sposobność do rozmaitych nadużyć i znęcań się nad robotnikami.

W Tryeście gospodarują bandy, zwane „mularia“, które na pierwszorzędnych ulicach, nie mogąc kraść i zabijać, znieważają przynajmniej słownie, a nawet czynnie spokojnych przechodniów. Madryt posiada swoich „golfos“, który koło „puerta del sol“ wygrzewają się na słońcu, a w nocy obdzierają przechodniów. Amerykańskie wielkie miasta nie ustępują naturalnie europejskim. To co się dzieje w Nowym Jorku, w Chicago, San Francisco wygląda często na bajkę, a jednak jest prawdą.



Ś. p. Elżbieta Heger Skalska.

Jak widzimy, tego rodzaju zjawiska nie są niczem wyjątkowem po większych miastach. Gdybyśmy trzymali się stosunku procentowego i obliczyli, ile w Krakowie zdarza się rozmaitych zbrodni i jaki jest ich stosunek do liczby mieszkańców, wówczas prawdopodobnie statystyka nie wydałaby nam gorszego świadectwa, niż któremukolwiek innemu miastu. Oczywiście byłoby najlepiej, gdybyśmy nie mieli ani „nożowców“, ani przestępców nieletnich. Ale na to jest rada: niechaj kraj wybuduje przymusowe domy pracy, a wtedy w Krakowie, we Lwowie i po większych miastach prowincyonalnych zmniejszy się liczba nicponiów, którzy wolą rabować, niż pracować. Ażeby nieletnich, zaniedbanych chłopców uchronić od zbrodni, należy zakładać przytułki, nieść oświatę pomiędzy ciemne masy, a przedewszystkiem starać się o podniesienie materyalnego ich bytu. Głód często popycha na pochyłą drogę występku, a dalej pcha już taką istotę zaniedbanie moralne. Uwagi te rzucam nawiasowo, a raczej powtarzam je za radcą policyi Swolkienem, który objąwszy przewodnictwo nad biurem bezpieczeństwa publicznego w Krakowie, zwrócił uwagę szczególniej na przestępców nieletnich. Uwagę własną i uwagę ogółu.

Pomówię jeszcze o malcach z powodu innej sprawy. Oto w Wiedniu na posiedzeniu najwyższej Rady sanitarnej rozstrzągano wniosek żądania wydania ustawy państwowej, którąby zabraniała sprzedawania tytoniu, cygar i papierosów osobom poniżej lat 16. Referat o tym wniosku przedłożył starszy radca sanitarny, profesor Exner, który wystąpił przeciwko temu wnioskowi z tego powodu, że podobna ustawa istniałaby tylko na papierze i nie przyniosłaby dodatnich skutków, choćby tylko dlatego, że do jej wykonania byłby potrzebny ogromny aparat policyjny. Gdyby taka ustawa została wydaną — mówił radca Exner — wtedy ojciec nie mógłby swego syna, majster swojego terminatora posłać do trafiki, z drugiej zaś strony nieletni palacze wynaleźliby tysiące sposobów, ażeby zaspokoić swój nałóg, a czasem tylko chęć naśladowania starszych. Niema racyi zabraniać chłopakom palenia tytoniu, a pozwalać im na picie wódki. Zamiast uchwalać bezskuteczną ustawę, lepiej byłoby pomyśleć o stosownem pouczaniu ludności, że tytoń jest szkodliwy dla młodocianego organizmu. Najwyższa rada sanitarna wysłuchała tego referatu, ale nie powzięła jeszcze żadnej uchwały.

Rozpocząłem niniejszą kronikę od przywłaszczycieli cudzej własności i skończę ją notatką na ten temat. Jak donoszą dzienniki paryskie, nawiązując do niedawnej kradzieży portretów w Hadze, osoby trudniące się kradzieniem obrazów i dzieł sztuki, urządzają to zwykle bardzo zręcznie i po długim widocznie namyśle. I tak w Paryżu właściciel pewnego starodawnego pałacu, który pełen był drogocennych dzieł sztuki, ogłosił, że pałac ten jest do sprzedania lub do wynajęcia. Zjawiła się jakaś Angielka i wynajęła pałac na cały rok, oglądnąwszy go przedtem bardzo dokładnie. Podobało jej się wszystko z wyjątkiem obrazów ściennych w jednej z sal. Były to wspaniałe malowane sceny mitologiczne.

— Panie! — zawoła skromna Angielka — Te obrazy, pełne nagości są „shoking“. obrażają uczucie skromności, musi je pan więc usunąć.

— Te obrazy usunąć? Ależ to arcydzieła! — odparł właściciel pałacu.

Po długiej polemice Angielka wreszcie przystała na to, ażeby nie naruszając owych cennych obrazów umieścić na nich jakieś płótna, odpowiadające zupełnie sromotności lokatorki. Przez kilka dni wprawiano nowe obrazy, Angielka zaś tak się zajęła gorliwie tą robotą, że osobiście brała w niej udział. Minął rok i skromna lokatorka opuściła pałac, wyjechawszy do Anglii. Właściciel pałacu, stęskniony za swojemi arcydziełami, kazał czemprędzej usunąć nowe obrazy, ażeby odsłonić dawne arcydzieła. Ale jakież było jego przerażenie, gdy spostrzegł puste miejsca. Skromna Angielka zabrała z sobą nieskromne obrazy i zniknęła z niemi bez śladu. Arcydzieła sztuki francuskiej zdobią może obecnie salon jakiego amerykańskiego milionera, który nie wie o ich pochodzeniu. A reporterzy piętnujący z oburzeniem chłopca, który ukradł bułkę ze straganu, z podziwem wyrażają się o sprycie Angielki *k. e.*

Ś. p. Elżbieta Heger Skalska.

W spokojnym, zacisznym przytułku dla nieuleczalnie chorych, zapomniana przez wszystkich prawie, zgasła przed dniami niewielu jedna z byłych gwiazd sceny Skarbkowskiej we Lwowie, jedna z tych, której życie i działalność związane było bardzo ściśle z historyą tej sceny w ostatniem trzydziestoleciu.

Zmarła Elżbieta Heger Skalska, była primadonna opery lwowskiej, wdowa po niezapomnianym i niezrównanym komiku śp. Tadeuszu Skalskim. Urodzona we Lwowie około 1865 roku, wstąpiła jako niespełna dwudziestoletnie dziewczę do teatru lwowskiego. Przyjęto ją do chóru. Szczupła, o jasnych blond włosach i jasnych oczach, wcale nie piękna, zwróciła jednak odrazu uwagę ówczesnego dyrygenta opery Henryka Jareckiego i dyrektora teatru śp. Stanisława Dobrzańskiego swą niezwykłą muzykalnością i niepospolitym talentem scenicznym, które to zalety istotnie zabłysły później w całym blasku. Stanowiła też od początku podporę chóru żeńskiego, a dodać warto, że wówczas jeszcze nut nie znała i śpiewała wyłącznie tylko ze słuchu. Z pomocą zacnego dyrektora Dobrzańskiego, który bardzo szczerze zaopiekował się jej talentem, ukończyła elementarną naukę ogólną muzyki i wnet po tem, wraz z Kasprowiczową, zajęła pierwsze miejsce w rzędzie śpiewaczek teatru lwowskiego.

Śpiewała początkowo przeważnie w operetkach, później w operze, a w każdej roli potrafiła okazać swój ogromny talent wokalny i niezwykłą łatwość śpiewania. Nic dziwnego też, że była ulubienicą publiczności lwowskiej, która darzyła ją zasłużonymi oklaskami, bukietami i wieńcami.

Ś. p. Skalska wierną była scenie lwowskiej od początku do końca swej karyery artystycznej i choć niejednokrotnie otrzymywała bardzo korzystne zaproszenia z zagranicy, zawsze je odrzucała i nie rozstawała się nigdy z ukochanym teatrem Skarbkowskim i życzliwą publicznością. I pracowała dla tej sceny tak długo, jak długo starczyły jej słabe, wątłe siły. Wyczerpana kreacyą wszystkich czterech postaci w „Opowieściach Hoffmana“, które śpiewała niezliczoną ilość razy, poczęła tracić głos i przyszło jej rozstać się z ukochaną sceną.

Mimo wielkiego powodzenia, mimo tryumfów wszystkich, które jej w czasie pracy dla teatru przypadły w udziale, pozostała śp. Skalska zawsze skromną, niewymagającą i idealnie dobrą koleżanką. Kochano ją więc dla tych przymiotów duszy i serca bardzo serdecznie i szczerze.

Ostatnie lata jej życia smutne były, smutną też nad wyraz była jej śmierć.... w zakładzie dla nieuleczalnych.

Pogrzeb śp. Skalskiej odbył się w środę 19 bm. przy dość licznym udziale publiczności. Przybyło też grono artystów dramatycznych teatru miejskiego, ci bowiem, wśród których i z którymi śp. Skalska pracowała, artyści opery i operetki, bawią obecnie w Krakowie. Pieśnią żałobną, pieśnią, której zmarła przez lat tyle służyła, pożegnał ją chór „Echa“.

Spokój jej duszy!



Z wojny ros.-jap.: Prezydent ministrów w Japonii baron Katsura.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

(Szukanie winowajcy. — Car się usprawiedliwia. — Księga z dokumentami. — Trójka zasłużonych. — Echa oblężenia Portu Artura. — Młodzi zapaleńcy. — Wodzowie japońscy. Dar honorowy dla marszałka Oyamy. — Spadkobierca Napoleona I. — Pomnik admirała Togo. — Po zajęciu Sachalinu. — Nowa armia japońska. — Władywostok przed oblężeniem. — Rosya odbudowuje flotę. — Trudne zadanie. — Ukaz carski. — Nowy minister marynarki. — Wielkie jego zadanie).

Im straszniejszą jest klęska oręża rosyjskiego w wojnie z Japonią, tem pilniej szukają w Rosyi istotnego jej sprawcy. Car sam, jako najwyższy wódz, stara się teraz dowieść, że nigdy nie pragnął tej wojny, lecz, że został w nią wtrącony wskutek niesumienności trzech znanych ludzi, którym powierzył załatwienie nieporozumień między Japonią a Rosyą w drodze pokojowej, a którzy rozkazów cara nie wykonali.

W petersburskiej drukarni synodalnej wydrukowano niedawno z polecenia cara księgę, zawierającą 42 dokumenty, tyczące się rokowań Rosyi z Japonii przed wybuchem wojny, Car rozesłał tę księgę wszystkim ministrom, członkom Rady stanu i rodziny carskiej. W księdze tej znajduje się między innemi następujący dokument. Jest to nota wiceadmirała Abazy, szefa komitetu dla spraw na Dalekim Wschodzie.

Donosi on w niej sekretarzowi stanu, Bezobrazowowi, znajdującemu się podówczas w Porcie Artura pod datą 11 czerwca 1903: „Na rozkaz carski donoszę panu, że car postanowił ostatecznie dopuścić Japonię do zupełnego zajęcia Korei, może nawet aż do granicy naszych koncesyi nad rzeką Tumen ku północy i nad rzeką Jalu ku zachodowi. O tem ustępstwie nie należy Japonii zawiadamiać dopóty, dopóki wysłane z Rosyi wojska nie nadejdą do kraju Zabajkalskiego, aby to postanowienie cara nie miało charakteru ustępstwa. Car sądzi, że skoro ustąpimy Japonii w sprawie koreańskiej, unikniemy ryzyka starcia się z Japonią. Car poleca panu zawiadomić o tem generał-adjutanta Aleksiejewa. Aleksiejew obowiązany jest, stosownie do ogólnego położenia i zapatrywań posłów, wybrać odpowiednią chwilę i donieść, kiedy o tem należy zawiadomić Japonię“.

W odpowiedzi na to przedłożył Aleksiejew projekt ugody z Japonią, który jej wręczono 28 listopada 1903. Punkt pierwszy tego projektu zawierał obustronne zobowiązanie się Rosyi i Japonii co do zagwarantowania niezależności i nietykalności Korei.

Dnia 14 stycznia (st. st.) 1904 telegrafował car do Aleksiejewa, że Rosya gotową jest dopuścić Japonię do okupacyi Korei aż do gór między Jalu a Tumenem. Dnia 20 stycznia przedstawił minister spraw zagranicznych hr. Lambsdorf Abazie projekt telegraficznej odpowiedzi dla Japonii, w której Rosya przyjmuje warunki japońskie. Telegramu tego Abaza nie wysłał i 21 stycznia wytłómaczył się, dlaczego się z treścią jego nie zgadza. 24 stycznia tj. 8 lutego według nowego stylu, nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych.

Tak więc car winę wybuchu wojny zwala na Aleksiejewa, Abazę i Bezobrazowa. Ta trójca — to ludzie, którym prawdopodobnie Rosya pomników stawiać nie będzie.

Tyle co do przyczyn wybuchu wojny.

A teraz, obejmując okiem przebieg wojny, zwłaszcza jej pierwsze miesiące, pisma rosyjskie, rozpatrując ustawiczne klęski Rosyan na półwyspie kwantuńskim, zapytują bardzo słusznie, co robili strategicy rosyjscy w ciągu 7 lat zarządzania Kwantungiem. Na to pytanie odpowiada jeden z publicystów rosyjskich w piśmie „Russkoje Słowo“ w sposób następujący:

„Dziwicie się, że Japończycy prawie bez oporu zajęli cały kwantuński półwysep? Ależ to takie proste! Przecież myśmy się wcale nie bronili, myśmy im sami pokazywali drogę. Bo przecież nasi strategicy nawet nie znali dokładnie Kwantungu.

„Zapytacie, co oni robili w ciągu zarządzania tym półwyspem?

„Nic nie robili! Generał Stoessel był naczelnikiem sił zbrojnych. Czy on choć raz był w Kinczau, przed wylądowaniem w Pitsewo? O tem nie wiemy, ale wiemy na pewno, że od chwili pojawienia się Japończyków na Kwantunie, nie był tam. Ani generał Fock, ani generał Nadiein nie byli podczas bitwy w Kinczau, ale siedzieli w bufecie na stacyi Tawastim przy szampanie.

„Bezczynność Stoessla, jako dowódcy sił zbrojnych, zaznaczała się dotkliwie na wszystkiem. Nie tylko w niczem nie przeszkodził Japończykom w wylądowaniu na Kwantun, ale naprzykład w sprawie zaprowiantowania Portu Artura niedbałym był do tego stopnia, że bydło z obwodu kwantuńskiego rozkazał sprowadzać do Portu od 29 maja, podczas gdy Japończycy już 27 zdobyli byli Kinczau. Bydło to, stosownie do rozkazu, było zabrane 29 maja, lecz nie przez Rosyan, ale przez Japończyków.“

W taki sposób maluje publicysta rosyjski działalność „strategików“ rosyjskich w ciągu 7-letniego zarządzania półwyspem kwantuńskim.

Mówiąc o zajęciu Kwantungu przez Japończyków, zatrzymajmy się na chwilę przy oblężeniu Portu Artura. Pisma angielskie zamieściły w ostatnich dniach wesołe opowiadanie, za którego autentyczność ręczą. Przytaczamy je poniżej:

„Japończycy są stanowczo praktycznymi ludźmi, opowiadał jeden z rosyjskich oficerów, należący do załogi portarturskiej. Obleżeni i oblegający nie dawali podczas oblężenia pardonu, zwłaszcza obleżeni nie znali wogóle litości, gdyż nie mieli ochoty żywić bezużytecznych jeńców.

Rosyanie pewnego dnia odbili fosę, z której ich niedawno wygnali Japończycy. W kącie znaleźli czterech małych Japończyków, którzy nie mogli uciec i z wzniesionymi w górę rękami błagali o łaskę. Oficer rosyjski kazał spuścić broń i wziąć Japończyków do niewoli. Byli to młodzi ludzie, prawie jeszcze chłopcy, a oficerowi wydawało się, że różnili się znacznie od innych żołnierzy japońskich. Zaczęto ich badać i dowiedziano się, co następuje:



Z wojny ros.-jap.: Nowy minister wojny w Rosyi gen. A. J. Rediger.

Patryotom w Tokio wydawało się oblężenie Portu Artura za długo trwające. Oskarżali generała Nogiego i jego wojska o brak odwagi. Kilka dzienników uderzyło na alarm, a jeden z nich oświadczył, że posłałby chętnie głównodowodzącemu wiszący w redakcyi nóż, sądząc, iż skoro się ktoś okazuje tak nieudolnym, jak on, to nie pozostaje mu nic innego, jak popełnić *harakiri*. Te podjudzania podziałały.

Uczniowie urządzili pewnego dnia wspaniałą demonstracyę. Zebrali się przed gmachem ministerstwa wojny i żądali odwołania Nogiego. Policya przypatrywała się początkowo demonstracyi zupełnie spokojnie, potem jednakowoż otoczyła szybko 300 do 400 manifestantów i zaprowadziła ich do najbliższych koszar.

Nazajutrz otrzymali wszyscy bilet jazdy, poczem wsadzono ich na okręty i wysłano do armii oblężniczej pod Port Artura. Młodzi więc patryoci mieli więc sposobność dowiedzenia szczerości swego zapału w czynnej służbie dla ojczyzny na polu walki. Powiedziano im, że bez wątpienia pragnęli tego i że teraz prawdopodobnie, dzięki ich poparciu, Port Artura zostanie wkrótce zdobyty. Czterech młodych Japończyków, których Rosyanie wzięli do niewoli, brało udział w tej demonstracyi.

Oto charakterystyczny obrazek z życia Japończyków.

Wodzowie japońscy, których geniusz w ostatniej wojnie zabłysnął w niebywałej jasności, pozyskali sobie sympatye całego świata. Bo też to, czego oni dokonali, stawia ich stanowczo w rzędzie największych mężów doby obecnej. Ze wszystkich stron spotykają ich też wyrazy uznania i uwielbienia, które oni, jak prawdziwie wielkim mężom przystało, przyjmują z wrodzoną skromnością, choć mieliby prawo być dumni.

Przed kilku tygodniami otrzymał marszałek Oyama dar honorowy z Europy, dar, który jest wyrazem uczuć całego może świata. Oto jakiś, bliżej nieznany, jegomość z Europy południowej, wręczył Oyamie dubeltówkę, która kiedyś znajdowała się w posiadaniu wielkiego cesarza, Napoleona I. List, który ów jegomość przesłał marszałkowi Oyamie wraz z darem, brzmiał jak następuje:

„Wręczam Panu starą broń, która przeszło od



Z wojny ros.-jap.: Uroczysta procesya w Tokio na cześć poległych w ostatniej bitwie mukdeńskiej.

lat stu znajduje się w naszym skarbcu rodzinnym, a należała niegdyś do Napoleona I., wielkiego korsykańczyka. Cesarz ten wytężył wszystkie swoje siły, aby zniszczyć rosyjskiego barbarzyńcę; nie udało mu. się to jednak, jego przedsięwzięcie zostało udaremnione przez klęskę pod Moskwą. Pan umiałeś doskonale przyciąć rosyjskiemu niedźwiedziowi pazury, i gdyby Napoleon wstał z grobu, cieszyłby się z pewnością z całego serca, że potęga Rosyi przecie została przełamaną. Przykro mi było, że taka stara broń rdzewieje w skarbcu rodzinnym, to też wręczam ją Panu jako zapis Napoleona, za którego prawowitego spadkobiercę uważam Pana“.

Trzeba przyznać, że jegomość ów, który w ten sposób uczcił wielkiego bohatera z pod Liaojanu i Mugdenu, był w liście swoim wyrazem opinii całego świata.

I Japończycy jednak umieją ocenić swoich wodzów. Admirał Togo, ten japoński Nelson, który całą flotę rosyjską pogrzebał w głębiach morskich pod Portem Artura i Cuszimą, wyrósł w Japonii na mitycznego prawie bohatera. Społeczeństwo japońskie postanowiło go uczcić pomnikiem, ale pomnikiem trwałym, a przytem tak praktycznym, że kto go tylko ujrzy, zaraz mu przyjdzie na pamięć wielki admirał i jego wielkie czyny. W ostatnich tygodniach rozpoczęto w Japonii zbierać składki na ten pomnik. A pomnikiem będzie olbrzymia latarnia morska, która ma stanąć w Okinoszima. Latarnia ta rzucać ma promienie światła w promieniu 80 mil morskich, oświetlać więc będzie całą przestrzeń morską, na której toczyła się wiekopomna bitwa pod Cuszimą. Latarnia ta kosztować ma 14 milionów koron.

W poprzednim numerze wspominaliśmy już, że Japończycy zajęli Sachalin. Obecnie zajęcie to stało się faktem i Japończycy objęli całą tę wyspę w posiadanie. Zająwszy Sachalin, Japończycy zmienili odrazu nazwę tej wyspy. Obecnie nosi zna miano Akabafato, takie, jakie nosiła przed okupacyą. Wszystkie miejscowości i zatoki, otrzymały też nowe nazwy. Tak np. zatoka Aniwa nazwaną została imieniem księcia Higashi Fushimi, który we wrześniu ubiegłego roku ścigał aż do tego miejsca na pancerniku „Chitose“, rosyjski pancernik „Nowik“, z pod Portu Artura.



Z wojny ros.-jap.: Szpieg japoński, przebrany za Chińczyka, w kwaterze rosyjskiej.

W ubiegłym tygodniu wielkie wrażenie wywołała w całym świecie wieść, że Japończycy wylądowali nową armię na północ od Władywostoku. Rosyanie, którzy się przygotowywali na główny atak na prawym brzegu rzeki Tumen, zostali zupełnie przez to zaskoczeni. Zupełne zamknięcie Władywostoku będzie wkrótce przeprowadzone. Nie od rzeczy więc będzie zająć się na chwilę tą twierdzą.

Jak wiadomo Władywostok, leżący na półwyspie między zatokami ujść Ussuri i Amuru, otaczają wysokie góry. Na południe zakrywa miasto wyspa Rosya, a ponadto bronią z tej strony przystępu siedm wielkich fortów, 38 bateryi nadbrzeżnych i 200 bateryi lądowych, pominąwszy już liczne szańce. W kierunku północnym bronią Władywostoku cztery linie fortyfikacyjne, z których ostatnia położona jest w promieniu 14 wiorst od miasta. W kierunku południowym jak również i na wyspie Rosya, założono podobno trzy linie fortyfikacyjne. Pięć fortów broni północnej części miasta i dwa dalsze leżą na wyspie. Od siedemnastu miesięcy, pracowało dniem i nocą 20 tysięcy ludzi nad wzniesieniem owych fortyfikacyj. Stare fortyfikacye zupełnie przebudowano; nowe otaczają miasto potrójnym, miejscami nawet poczwórnym pasem fortów.

Garnizon składa się z 85.000 ludzi. Twierdza posiada ogółem 2.000 dział i mitrailez, 400 milionów nabojów i odpowiednie zapasy pocisków artylerzyckich. Zapasy żywności obliczone są — według twierdzenia komendanta Władywostoku, gen. Kazbeka — na dwa lata.

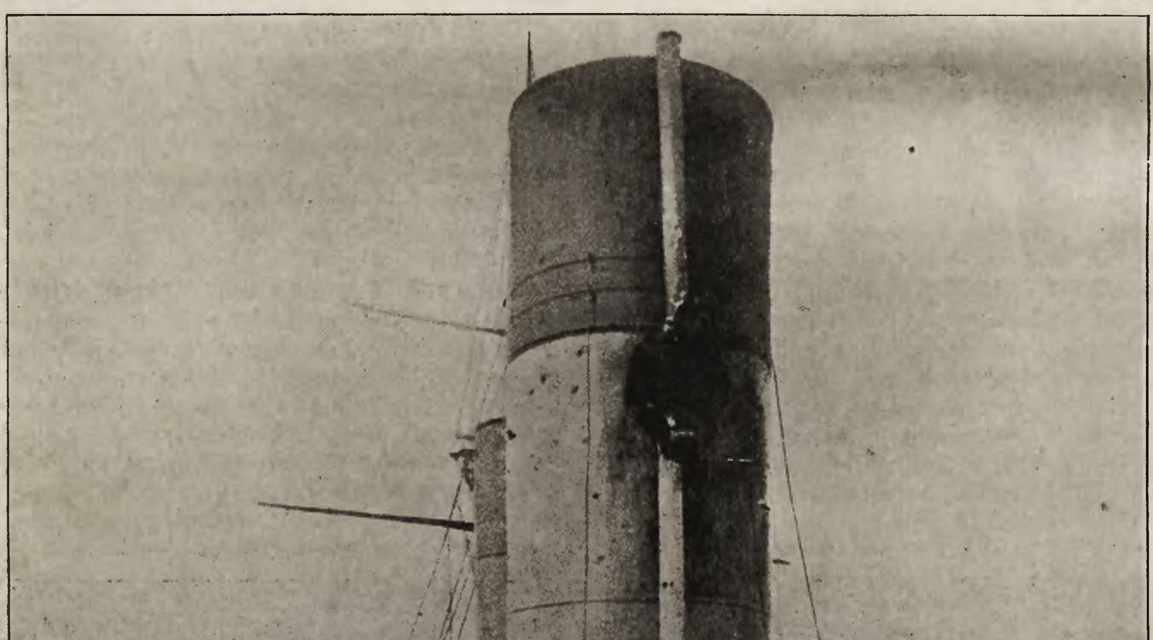
Od strony morza położenie Władywostoku, przedstawia się mniej korzystnie. Wobec tego należy się spodziewać blokady. W porcie stoją krążowce pancerne „Rossia“, „Gromobój“ i „Bogatyr“ pod admirałem Jessenem. Ponadto znajdują się tam statki, które uszły z pogromu pod Cuszimą, tj. „Ałmaz“, „Groźnyj“ i „Brawyj“, cztery kontrtorpedowce i szesnaście łodzi torpedowych.

Ludność Władywostoku liczy obecnie 10.000 Europejczyków, w tem 4.000 kobiet i dzieci, oraz 8.000 Chińczyków i Koreańczyków. Zachowuje się ona spokojnie i życie w twierdzy płynie spokojnym trybem. Obawiają się tylko, iż już w najkrótszym czasie przerwane zostanie połączenie kolejowe Władywostoku z Charbinem.

Według doniesień z Petersburga, rząd rosyjski zdecydowany jest za wszelką cenę przeprowadzić odbudowę floty i to w czasie jak najkrótszym. Obecnie prowadzą się próby nad wytrzymałością i odpornością płyt pancernych, jakoteż nad działaniem nowej mateyi wybuchowej, wynalezionej przez inżynierów rosyjskich Postoffa i Nakimoffa.

W najbliższym czasie ma być rozpoczętą budowa 20 krążowców i 8 pancerników. Preliminowane koszta budowy wynoszą 260 milionów rubli. Trudność przedstawia tylko zebranie załogi. Obiega pogłoska, że rząd rosyjski werbować będzie marynarzy zagranicznych.

Trudne zadanie ponownego stworzenia floty rosyjskiej, powierzył car admirałowi Birylewowi, który w ostatnich dniach powrócił z Władywostoku, gdzie oczekiwał na przybycie eskadry Rożdiestwego, której jednakże już nie oglądał. Car wystosował do Birylewa ukaz, w którym, wspo-



Z wojny ros.-jap.: Pokład pancernika „Orel“ po bitwie pod Cuszimą.



Z wojny ros.-jap.: Rosyanie biwakujący w okopach.



Z wojny ros.-jap.: Pułkownik japoński tłómaczy attaché chińskiemu plan bitwy.

minając o ustawicznych klęskach floty, jakie uniemożliwiły ułatwienie zadanie armii lądowej i osiągnięcie powodzenia, skarży się z powodu utraty wiernych marynarzy, którzy dali życie za ojczyznę, i powiada, że obowiązkiem względem ojczyzny wszystkich marynarzy jest współpracować w miarę sił nad odnowieniem siły morskiej, która dla Rosyi jest niezbędną, i nad wykształceniem i przygotowaniem odpowiedniego materyału, przejętego świadomością swych obowiązków.

Birylew — powiedziano dalej w ukazie — przy sposobności przyśpieszonego uzbrojenia drugiej i trzeciej eskadry, przeznaczonej dla Azyi wschodniej, okazał niezwykłą energię, doświadczenie i energię militarną i natchnął wszystkich nowym duchem i świadomością narodowej doniosłości ich roboty. Te jego usługi pozwalają carowi liczyć z wszelką pewnością na niego przy odnawianiu floty. Wraz z nominacyą na ministra, powierza mu car najwyższe kierownictwo departamentu marynarki z prawem składania carowi osobiście sprawozdań o wszystkiem, co do tego należy.

Ostatnie zajścia na morzu Czarnem — powiada car dalej — dowodzą, że posłuszeństwo wojskowe w załogach zupełnie zanikło i że przełożeni nie wypełniają swej powinności. Tak nadzwyczajne czyny zbrodnicze wymagają dokładnego śledztwa i surowej kary. Car nakłada obowiązek na admirała, w pierwszym rzędzie przywrócić ducha porządku wojskowego i postarać się o to, by flota spełniała swoją powinność. Car wskazuje na konieczność wystarania się o technicznie dobrze wyszkolony i karny personal flotowy, o uzbrojenie okrętów, mających się wybudować, odpowiednio do wymagań teraźniejszych, tudzież o podniesienie technicznego wykształcenia inżynierów marynarki. Co do nowej organizacyi floty, car żąda, ażeby minister natychmiast rozpoczął pracę od zabezpieczenia obronności wybrzeży wszystkich wód rosyjskich, a następnie krok za krokiem odbudował flotę bojową w miarę środków.

Zgruchotaną lutnię ministerstwa marynarki objął więc po niefortunnym Avellanie admirał Birylew.

Nowy minister, liczy obecnie lat 60 i uchodzi w Rosyi za bardzo dzielnego oficera marynarki. Do marynarki rosyjskiej należy od r. 1859. Jako najstarszy oficer okrętowy pełnił on służbę na różnych okrętach, wszędzie odznaczając się wielką sumiennością. Pierwsze samoistne stanowisko objął na okręcie „Admirał Łazarew“, jako jego komendant. Po kilku latach służby na „Mininie“, „Sysoju Wielikim“ i „Admirale Uszakowie“, został Birilew w r. 1897 mianowany komendantem artyleryi marynarskiej. Także Birylew brał udział w święcie zbratania marynarki rosyjskiej z francuską, jako komendant drugiej dywizyi eskadry Morza Śródziemnego.

W r. 1901 objął Birylew komendę floty bałtyckiej i sprawował ją do połowy r. z., poczem mianowany został głównym komendantem portu



Z wojny ros.-jap.: Guślarz japoński, odprawujący czary za pomyślność oręża japońskiego w obecności marszałka Oyamy.

kronsztadzkiego. Przed niespełna dwoma miesiącami wysłany do Władywostoku dla inspekcyi twierdzy zaraz po powrocie powołany został na opróżnione po Avellanie stanowisko.

Birylewa czeka bardzo wielkie i odpowiedzialne zadanie, z jego to energii ma powstać nowa flota rosyjska, Avellanowska bowiem, częścią spoczywa na dnie morza, częścią znajduje się w ręku nieprzyjaciół, resztki zaś, ocalałe od pogromu tylko dzięki temu, że ich nie wysłano, ogarnął duch buntu.

KRONIKA LWOWSKA.

(Jest sobie we Lwowie staw... – Dawniej a dziś. – Ataki prasy. — Co powinien zrobić Pan Bóg? — Wulkan we Lwowie. — Względy historyczne. — Flaszka wody ze stawu i jej składniki. – Może tam są skarby. – Przyszłość Lwowa. – Kłopoty pana prezydenta. – Gratulacye. – Niema radnych. – Mieszkanie prezydenta. – 12.000 koron. – W teatrze – Precz z strejkbrecherami. — Admonicya z tyłu. — Jak u nas wygląda pojedynek. — Honor dojrzałych. - Obraza honoru. – Dwaj adwersarze. — Gust na ucho. — Kto ma przeprosić? – Z uchem niema żartów. — Nagła decyzya. — Idźcie i powiedźcie mu. – Kilkakrotne jazdy. — Wesoła jazda. – Dawny duch rycerski. — Zaglądanie śmierci w oczy. — Kto zapłacił życiem? — Biedny wróbel. — Ocalony honor. – Sprawiedliwości stało się zadość. — „Będzie stało w gazetach.“ – Na pałasze. – Po czem poznać honorowego człowieka? – Plastry bez ran. — Twarz jak szachownica).

Jest sobie we Lwowie park Kilińskiego, a ozdobą jego jest u samego wejścia stawek, który doczekał się niezliczonych opisów i przejdzie do historyi z całą pewnością. Już i podpisany coś o tem pisał a dzienniki miejscowe poświęcają mu od czasu do czasu pochlebne wzmianki, adresowane do rady miejskiej z gorącą prośbą o zasypanie stawku. Był czas, kiedy nad stawkiem siadywały zakochane pary i szeptały różne niebezpieczne słówka, patrząc na płynącego melancholijnie po stawie łabędzia; był czas, kiedy woda stawu czysta i świeża szerzyła dokoła chłód pożądany, a ryby i rybki igrały swawolnie i bawiły stojących godzinami nad stawem lwowian. Dziś zakochane pary są już dziadkami i zakazują wnukom chodzić nad staw do parku, gdzie panują odurzające rozum wonie, łabędzie powyzdychały bezpotomnie, woda zgęszczona w maź błotną wysyła zabójcze opary, ryby częścią wyginęły, częścią odzwyczaiły się od wody a żyją tem, co im litościwi ludzie na żer rzucą t. j. kiełbasą, preclami i cukrem. Ten to stawek jest przedmiotem ustawicznych ataków prasy, a magistrat czy raczej radni, którzy to wszystko czytają z pewnem nawet zaciekawieniem, czekają niecierpliwie, ale wytrwale, czy też sam Pan Bóg z tym stawem nie zrobi wreszcie porządku, do czego ma kilka dróg: albo obok położone wzgórze usunąć i zasypać nim staw, albo wypalić zeń gorącem słońcem wszelką wilgoć i przemienić go w polankę, albo wreszcie pozwolić wszystkim nagromadzonym w nim trupom, gazom, ciałom i przedmiotom rozfermentować się, rozpalić i wybuchnąć w górę we formie wulkanu, przyczem mielibyśmy w miejscu dotychczasowej drugą naturalną ozdobę i wysoce oryginalną, bo aż wulkan.

Dlatego rada miejska nic na razie nie robi, ale czeka, co zresztą jest ponadto mniej kosztownem. Zasypaniu stawu sprzeciwiłby się zresztą może archiwaryusz dr. Czołowski, ze względu na jego chistoryczne znaczenie, ile że w stawie tym znajdują się od chwili jego założenia najrozmaitsze stare przedmioty, porzucone tam przez naszych pradziadków i prababki, szczątki znakomitszych topielców resztki psów i kotów, a nawet, jak mówią, mamutów i innych zwierząt przedpotopowych, wreszcie jest to jeszcze ta sama woda, którą widzieli nasi przodkowie, a jeśli woda ta straciła nawet na swej pierwotnej czystości i przeźroczystości, to zyskała natomiast na ciężarze, gęstości i zawartości, nie mówiąc już nic o zapachu.

Na przykład flaszka wody ze stawu w parku stryjskim przypomina mieszaninę złożoną ze wszystkich wód mineralnych: oliwy, benzyny, nitrogliceryny, terpentyny, wódki, nafty, oleju rycynowego, amoniaku, eteru, ipekakuany i rosołu. Zachodzą więc podejrzenia, że mogą się tam znajdować jakieś cenne pokłady, jakieś źródła mineralne uzdrawiające, jakieś żyły kruszców drogich i metali. Dlatego nie można się dziwić, jeżeli nasza rada miejska nie chce tak odrazu sprzątnąć lub zasypać miejsca, które może stać się kiedyś źródłem bogactwa i rozgłosu dla całego miasta.

Należy się spodziewać, że po tem uspokajającem wyjaśnieniu, pochodzącem ze sfer najlepiej poinformowanych, ustaną nareszcie niesłuszne a zjadliwe ataki prasy codziennej, której przecież dobro i przyszłość miasta, jak samemu p. prezydentowi, powinny leżeć na sercu.



Z wojny ros.-jap.: Nowy minister marynarki rosyjskiej admirał Birilew.

A p. prezydent Michalski, odkąd został prezydentem, ma kłopotów tyle, na ile naprawdę nie zasłużył. Dotąd ciągle odbierał gratulacye i gratulował innym, a kiedy nareszcie chciał zacząć prezydować, rozjechali mu się wszyscy radni na urlopy. Woźny zwołujący radnych na posiedzenie łapie ludzi na ulicy z pytaniem: czy pan przypadkiem nie jesteś radnym? — bo nie może zebrać kompletu.

Nie mając więc komu przewodniczyć zabrał się pan prezydent do objęcia nowego mieszkania w ratuszu. Tymczasem pokazało się, że salony prezydenckie są mocno niesalonowe. Tapety podrapane i obdarte, meble połamane, fotele wytarte, jednem słowem tandyta. Powiadają, że eksprezydent dr. Małachowski żegnając mieszkanie w ratuszu wpuścił dwa bataliony wojska na kilkutygodniowy „kwaterunek“, bo tylko wojsko mogło takie spustoszenie po sobie zostawić. Wyznaczono tedy czem prędzej 1200 koron na adaptacye i restauracyę mieszkania co niektórych obywateli nie na żarty zaniepokoiło. Na szczęście skończył się niepokój dość rychło, bo wyjaśniono, że kwota ta jest dość nizką na takie naprawki. I będzie miał pan Michalski odnowione mieszkanie.

Zabawny epizod wydarzył się w teatrze miejskim podczas przedstawienia „Zemsty“ ku uczczeniu rocznicy bitwy grunwaldzkiej. Jak wiadomo strejkują obecnie we Lwowie robotnicy budowlani. Kiedy podniesiono kurtynę i rozpoczęto drugi akt, w którym murarze zajęci są robotą przy murze granicznym, odezwał się z galeryi głos „Precz ze strejkbrecherami!“

Żart, jako w tym razie aktualny, był doskonałym.

Nie tak doskonałym był jednak figiel, jaki udał się strejkującym z prawdziwym strejkbre herem zajętym w czasie strejku u dyrektora tramwaju konnego. Sprowadzili go bowiem gwałtem do swego lokalu i wygarbowali mu skórę. Przystąpił bezwłocznie do strejku.

A teraz może jesteście ciekawi dowiedzieć się jak się u nas odbywa pojedynek. Właśnie niedawno mieliśmy pojedynek. Nie należę do ligi antipojedynkowej, ale ostatniego pojedynku nie pochwalam.

Są pewne sprawy, które wymagają krwi np. wojna, rzeź bydła, kręgielnia, salceson i obraza honoru. Obraza psuje krew i tylko krwią zmazana być winna. Taki studencina, który kończy gimnazyum, nie czeka tak bardzo na uniwersytet, jak na sposobność pojedynkowania się. Ze świadectwem dojrzałości pod pachą wraca do domu i już po drodze chętnie wyzwałby kogobądź za cobądź na jakąbądź broń. byleby jutro panna Zosia z naprzeciwka, albo panna Joasia z pierwszego piętra mogła usłyszeć, że on, on, potomek tylu sławnych rycerzy także nie jest od parady, ale gotów w obronie czci, czy jak tam, stanąć do orężnej rozprawy. Swoją drogą, że gdy się już znalazł jakiś przeciwnik i to przypadkiem tęgi szermierz, to takiemu pojedynkowiczowi rzednie mina, przestaje sypiać w nocy i nawet często zmienia... krawatkę. Robi przytem wszystko możliwe, żeby go obrażający przeprosił, lnb dał deklaracyę na piśmie z podpisami sekundantów, że nie chciał go obrazić i w ten sposób sprawa „honorowo“ się kończy. Najczęściej kończy się na pijatyce i to jeszcze nie jest najgorszem.

O wiele gorzej, gdy jeden berbeć i drugi zacięty i musi przyjść do spotkania. Ale idźmy po kolei. Świeżo „dojrzały“ gimnazyalista X. „obraził“ świeżo z pieca wypuszczonego realistę Y. Nazwał go smarkaczem, co w tym wypadku Y. uważał za jaskrawą przesadę, czego dowodem jest świadectwo dojrzałości. Ponieważ atoli panna Stasia „hercpinkel“ pana Y. jeszcze ze szkoły tańców, przypadkowo dowiedziała się o tej obrazie, przeto Y. bez wahania posłał X-owi dwóch świadków. Broń miała być najokropniejsza. Nawet armaty! Ale że żaden z adwersarzy przy kawaleryi jeszcze nie był, a z pistoletów pukało się już nieraz do wróbli podczas wakacyj, więc wybrano pistolety. X. przyjął wyzwanie i wyznaczono ośmiodniowy termin, podczas którego zapaśnicy mieli się ćwiczyć w celowaniu. Zbliżał się termin, w którym jeden z nich miał paść martwy i żółty, jak kwargiel. Wyzwany X. nic sobie z tego nie robił, a tylko odgrażał się, że musi Y-owi odstrzelić ucho. To obraziło wyzywającego jeszcze wi cej, ale też i zaniepokoiło go... A nuż bestya dobrze celuje... Coby on tak na świecie robił bez ucha! A coby na to mówiła Stasia? A on i tak ma jakieś kruche uszy...

Czarne myśli snuły się po głowie świeżo dojrzałego młodzieńca, a termin strzelaniny zbliżał się okropnie szybko. Pewnego poranku – a było to na dwa dni przed pojedynkiem – zjawili się świadkowie Y a u wyzwanego z zapytaniem, czy nie byłby skłonnym przeprosić obrażonego, w zamian za co, oni w imieniu swojego mandanta cofną wyzwanie. Ale ten X. miał wielki apetyt na ucho swego przeciwnika i o przeproszeniu ani słyszeć nie chciał. I owszem, powtórzył obraźliwe słowa i oświadczył, że nie pozwoli cofnąć wyzwania.

Obaj świadkowie spoceni wrócili do Ypsylona. Nastąpiła długa narada.

— A radziliście mi wyzwać i co teraz będzie? Chce mi ucho odstrzelić, a w moje ucho łatwo mu będzie trafić...

— To prawda — zawołali dwaj sekundanci.

— Żeby tylko ucho — zauważył jeden — ale on gotów ze wszystkiem zabić...

— Patrzcie no, żeby tylko ucho, a cóż to ucho, nic? Jakbym się światu pokazał bez ucha? E, do kroćset, wszystko mi już jedno, nie chce, to nie chce, ale ja go nauczę rozumu. Teraz jużbym nie odstąpił za żadną cenę. Bijemy się! Ale daję słowo honoru, że zastrzelę go jak psa, i tak mam pierwszy strzał... Idźcie i powiedzcie mu to...

Poszli i powiedzieli. Ale teraz i X. już się rozmyślił. Ucieszył się, że wrócili i oświadczył gotowość przeproszenia... ale sekundanci już nie przyjęli. Tramwajem konnym jeździli jeszcze do jednego i drugiego kilka razy, ale choć obaj byli w panicznym strachu, do spotkania już przyjść musiało, bo nawet znajome panny dowiedziały się o mającym się odbyć pojedynku...

Jedziemy się bić — ustąpcie z drogi. Obaj zapaśnicy są w złotym humorze. Co to się stało? Czy odezwał się w nich dawny duch rycerski? Jadą na śmierć, a śmieją się. Żeby tylko nie zapomniał, że dał słowo honoru, myśli X. Taksamo myśli Y. Aha...

Dali sobie słowo, że wystrzelą w powietrze. Zabrano ze sobą kilka flaszek przedniej wódki i coś do przegryzienia, bo wynik pojedynku nie był bardzo wątpliwym. Zapomniano tylko zabrać ze sobą do lasku – pistolety. Każdy myślał, że inny je zabierze. Posłano jednego ze świadków, który po godzinie wrócił. Tymczasem adwersarze przygotowywali się dość wesoło na śmierć.

Pojedynek odbył się dość szczęśliwie. Pomimo, że nie mierzyli do siebie, nie zrobili sobie nic złego. Przypłacił to życiem jakiś wróbelek, który całkiem przypadkowo przelatywał tamtędy i nie przeczuwał, że rozgrywa się tam walka na śmierć. Dostał biedak kulkę w brzuszek i skonał na polu walki jako ofiara honoru. Zapaśnicy tymczasem podali sobie ręce, a sekundanci składali im gratulacye. Potem wypiło się całą wódeczność i całe towarzystwo wróciło do miasta na grand-bibę.

Sprawa załatwiona, honor ocalony, sprawiedliwości stało się zadość. Panna Stasia i inne panienki są poprostu zachwycone tym całym interesem i nie posiadają się z radości, że żadnemu z rycerzy nic się złego nie stało. A jutro „będzie o tem stało we wszystkich gazetach“. Hoho!

Takich pojedynków mamy w tygodniu kilka. Najczęściej rąbią się honorowi ludzie na pałasze i nazajutrz wychodzą na miasto oblepieni plastrami. Wogóle poznaje się u nas honorowego człowieka po tem, że ma głowę jak szachownica. Swoją drogą nie zawsze pod takim plastrem znajdziesz ranę. Są tacy, którzy nie mają na twarzy żadnego nawet zadraśnięcia, a są oblepieni. *Klewe.*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

9 (Ciąg dalszy).

Drogi mój przyjacielu! wówczas nie spodziewałam się nawet, że w tak krótkim czasie jedyną moją pociechą będzie, gdy ci się wyspowiadam z mych uczuć! Jestem taka opuszczona, taka samotna, tak brak mi jakiejś zaufanej osoby, bratniej duszy, przed którą mogłabym się wyspowiadać z mych bólów i cierpień, że muszę się zwrócić do ciebie nie po pomoc, ale choć po kilka słów pociechy!... Co mnie spotkało, mogę ci w kilku słowach opowiedzieć, bo brak mi sił i wyrazów na określenie mych cierpień. Pierwszego dnia, gdyśmy przybyli do Hamburga, utraciłam ojca. Padł on ofiarą na pół tajemniczego nieszczęśliwego wypadku. Mój stryj Franciszek, który następnego dnia przyjechał, aby nas powitać, zastał już tylko jego trupa i po pogrzebie wziął mnie do swego domu. Chociaż pokazało się, że jestem ubogą dziewczyną i że mój ojciec nie miał żadnego majątku, krewni obchodzą się ze mną jak z jajkiem a jednak wiesz, że nie umiem być niewdzięczną — czuję się nieszczęśliwą, opuszczoną! I przyczyną tego nie jest śmierć mego ojca, ale to, że muszę żyć w mieście, i pośród ludzi, którzy plwają na jego dobre imię i którzy opowiadają niestworzone historye, jakich rzekomo miał się dopuścić w swej młodości. Tyś go znał mój przyjacielu, tyś go kochał taksamo, jak i ja, więc zrozumiesz chyba, co dzieje się w mojem sercu, gdy słyszę, jak ludzie, a nawet własni moi i jego krewni, miotają nań oszczerstwa i kalumnie; na niego, na tego człowieka, który zawsze był czysty, jak łza! A ja muszę milczeć, bo wnet wyjeżdża cała baterya dowodów, których prawdziwości nie jestem w stanie zbadać, których więc odeprzeć nie mogę! A czy mam ci wyraźnie powiedzieć, co jest głównem ogniwem męczarni, przykuwającem mnie do tego miejsca, gdzie codzień topią jadowite sztylety plotek w mem sercu?...

Od pierwszego dnia chciałam powrócić do mej kochanej Ameryki, ale zaraz na wstępie odcięto mi drogę do powrotu. Ceniony tutejszy adwokat, którego mianowano mym opiekunem nie chce mi pozwolić na tę podróż, a ja uciec nawet nie mogę, bo cała moja gotówka jest w jego rękach! W takiem to jestem położeniu!...

Wiem, że mi pomódz możesz i proszę cię na wszystko nie próbuj nawet tego, bo musiałbyś stoczyć całkiem niepotrzebną walkę z moimi krewnymi i z opiekunem, za którymi stoi niewzruszone prawo. Ale tęsknię za słowem pociechy z twojej strony, zwłaszcza, że ono doda mi sił do wytrwania aż do tej chwili, w której nastąpi dzień mego wyzwolenia, pełnoletność. Dotychczas wystarczał mi twój list, który otrzymałam przed wyjazdem, ale teraz minuty i godziny liczyć będę do tej chwili, w której dostanę od ciebie odpowiedź!

Twoja nieszczęśliwa

Helena.

Skończywszy list młode dziewczę włożyło go do koperty, na której widniał adres „Fred Archer inżynier“ wraz z wypisaną dużemi literami miejscowością w Stanach Zjednoczonych. Zaledwie ukończyła tę czynność, gdy ktoś zapukał do drzwi jej pokoju. Czemprędzej odsunęła zasuwkę i zobaczyła u progu Albertynę, która wszedłszy do pokoju zapytała ją, czy nie wybrałaby się na przechadzkę. Bystre oczy kuzynki odrazu dostrzegły na stole list pisany przez Helenkę i gdy biedna sierota zaczęła ją przepraszać i tłumaczyć się, że z powodu ogólnego osłabienia nie może jej towarzyszyć. Albertyna oświadczyła gotowość wrzucenia jej listu do skrzynki pocztowej. Helena zawahała się chwilę, jakiś głos wewnętrzny szeptał jej, że tego listu nie powinna nikomu powierzać, ale z drugiej strony przyszło jej na myśl, jaką straszną obrazą byłby dla kuzynki taki brak zaufania i z podziękowaniem wręczyła list Albertynie. Lecz jakżeby była żałowała tego kroku, gdyby mogła była dojrzeć tę scenę, która za chwilę rozegrała się na dole!

Albertyna, zbiegając już ze schodów, spotkała się z matką i choć w ostatniej chwili starała się ukryć list Helenki pod płaszczykiem, Amelia Springer dostrzegła ten ruch córki, zauważyła kopertę i zaraz zapytała ją, co to tak przed nią ukrywa. Dziewczyna z zuchwałą otwartością powiedziała, że to jest list kuzynki, który przyobiecała wrzucić do skrzynki, a gdy matka zażądała od niej wydania tego listu, z oburzeniem oświadczyła, że czegoś podobnego nigdy się nie dopuści. Kłótnia miedzy matką a córką przybierała coraz ostrzejsze formy, bo żadna z nich nie przebierała w słowach i kto wie, do czego byłoby przyszło, gdyby przypadkiem nie nadszedł doktor Harras, który, poznawszy z kilku urwanych zdań, o co chodzi, rzekł łagodnie do Albertyny:

— Spokojnie możesz moje dziecię oddać ten list matce, której zawsze powinnaś być posłuszną! Ona z pewnością nie zrobi z nim nic takiego, coby można złem nazwać...

— Niby to ja niewiem co ona z nim zrobi! Otworzy go i przeczyta, a potem spali, jeśli tylko treść podobać się jej nie będzie! Możecie z moją kuzynką wyrabiać, co chcecie, ale tego listu, który ona mnie powierzyła, nie dostaniecie nigdy! Rozumiecie? nigdy!...

Amelia Springer aż pobladła z wściekłości.

— Jak ty się odzywasz do swojej matki ty wyrodku? — zasyczała — jak ty możesz odważyć się, by sądzić moje postępki?!..

— Powoli, powoli! odpowiedziała zjadliwie Albertyna — już ja wiem dobrze, jakie sidła zastawiliście na tę biedną sierotę i nic jej o tem nie mówię. To chyba dość, ale do tej kradzieży nigdy mnie nie namówicie!...

I z tymi słowy młoda dziewczyna chciała wysunąć się za bramę, gdy w tem zatrzymał ją ceniony mecenas, który ująwszy ją za ramię, rzekł z naciskiem;

— Jeśli nie chcesz oddać matce tego listu, to daj go mnie, bo ja sobie tak życzę!...

Nienawiść zabłysła w źrenicach Albertyny, gdy zwróciła się do doktora.

— Naprawdę? — rzekła szyderczo — a pan doktor jakiem prawem śmie sobie tego życzyć?!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

2 (Ciąg dalszy).

Podróżna przeczytała to wszystko, zalewając się łzami.

Kilkakrotnie podnosiła oczy do listu.

— To pismo Kosziro — rzekła i głęboko się zamyśliła. Potem, spostrzegłszy, że się omyliła, powtórnie przeczytała parę wierszy i pomyślała: Smutne to, że bohater zginął podobną śmiercią, chociaż w nasze wojownicze czasy taki jest już zwyczaj. Pomóż mu, o Buuelo! A więc dlatego gospodyni moja porzuciła świat! Miałam racyę: los jej podobny jest do mego. Jej smutek — to mój smutek. Życie — sen.

Zapłakałam. Gospodyni przebudziła się i spytała:

— Co ci się stało?

— O... przebudziłaś się? – zapytała podróżna – ja zaś w tej chwili przeczytałam ten list.

Gospodyni posmutniała.

— List?

— Tak, list na namiocie.

Teraz gospodyni spostrzegła swą nieoględność, nie wiedziała, co odpowiedzieć swemu gościowi.

Przybyła zauważyła, iż kryje się w tem jakaś tajemnica i że postąpiła nietaktownie. Zamilknąwszy na chwilę, rzekła:

— Dla Wakaby napisane w liście. Być może w świecie tak się nazywałaś?

Od czasu, kiedy gospodyni została pustelnicą, nikt jej nie nazywał zakonnem imieniem, a o świeckiem ani mowy być nie może.

„Dla Wakaby — pomyślała — brzmi to, jakby imię obcej kobiety.. Wakaba — to moje świeckie imię“.

W oczach jej stanęły łzy.

— Tak — rzekła — niegdyś zwałam się Wakabą.

— List zaadresowany jest do Wakaby; mąż jej zginął.

Podróżna zasmuciła się. W liście napisane: „być może, wrócę zwycięzcą“ — rzekła — ale ponieważ zostałaś pustelnicą, sądzę, iż mąż twój zginął.

— Tak — odpowiedziała gospodyni – koniec jego był bardzo smutny.

— Z słów jego bije taka odwaga, pewno zginął, jak bohater?

— Dzięki ci, że się o to pytasz. Tak, jak słyszałam, walczył odważnie. Serce zamiera mi z radości.

— Mówisz z zachwytem. Mnie, obcej, cisną się łzy do oczu.

— Współczuj mej niedoli.

Głos gospodyni załamał się i z trudem wyrzekła te słowa.

Podróżna rzekła:

— Niepotrzebnie cię o to pytałam, znów ból twój wznowiłam, przebacz mi, żałuję bardzo.

— Nie, nie — odpowiedziała gospodyni — ja powinnam cię przeprosić, zachowywałam się głupio.

Mówiąc to, otarła łzy i ciągnęła dalej.

— Opowiadam ci smutne dzieje. Jak widzę, jesteś w rozkwicie młodości, a mimo to nosisz szaty zakonne. Twój młody wiek nie odpowiada życiu zakonnemu.

Przybyła ukryła zarumienioną twarz w poduszkę. Uśmiechnęła się zmieszana — dowód niewinności. Jak piękną musiała być w ozdobnych szatach! I ten prześliczny głos odmawia modlitwy.

— Ja również współczuję twemu losowi – rzekła gospodyni. — Dlaczego wyrzekłaś się świata? Proszę cię, opowiedz mi swoje dzieje, jeśli to dla ciebie nie będzie zbyt bolesne.

Młoda podróżna odrzekła:

— Dzięki ci za współczucie; kiedy wspomnę moją przeszłość, łzy cisną mi się do oczu. Los mój jest bardzo smutny.

Lilia nie mogła utrzymać ciężkich kropli rosy; jedna z nich stoczyła się na dół.

— Rodzice moi żyją jeszcze — opowiadała — lecz człowiek, którego żoną zostać miałam, umarł — i dlatego wyrzekłam się świata. Przedsięwzięłam pielgrzymkę, poszłam sama, bez przewodników, jak czytałam w książkach i widziałam na obrazach, i teraz przenoszę męki stokroć gorsze od śmierci. Ale wspomnienia o tym człowieku nie opuszczają mnie ani na chwilę. Tęsknię za rodzicami i w sercu mojem ból.

Zbłądziłam dzisiaj; zmierzch zapadł, było mi strasznie smutno. Lecz szczęście mi się uśmiechnęło: ujrzałam światło i przyszłam do twego mieszkania. Poprosiłam cię o przytułek i ty uprzejmie mnie przyjęłaś; słowa twe brzmiały łagodnie. Powinnam cię czcić, jak starszą siostrę. Teraz nie chcę więcej wędrować; pozwól mi zostać się jako służącej. Będę ci nosić wodę, kwiaty w górach, czyścić twe szaty, wszystko zrobię, co rozkażesz. Czy się zgadzasz na moją prośbę?

Gospodyni natychmiast odrzekła:

— Prawdę mówiąc, czy ja, niedoświadczona, mogę być twą starszą siostrą! A jednak żywię dla ciebie uczucie starszej siostry. W młodym wieku utraciłam rodziców i służyłam u swego pana. Wkrótce po ślubie straciłam męża, poległ śmiercią bohaterską. Żyję samotnie; ujrzawszy cię, pomyślałam zaraz:

„Ach, gdybym ja miała taką siostrę! Mogłybyśmy razem wieść smutne gawędy!“ Żyję ubogo, jeśli możesz wieść takie życie, pozostań; pożyjesz dziesięć, dwadzieścia lat, ile zechcesz!

Przybyła rozpłakała się z radości i rzekła:

— Jeśli tak, to od dnia dzisiejszego jesteś moją starszą siostrą. Nie jesteśmy sobie więcej obce!

— Będziemy sobie opowiadały wzajemnie o sobie. Patrząc na ciebie, wiele wydaje mi się niepojętem!

— Niepojętem? Cóż właściwie?

— W liście przecież napisane: „Jeśli zostaniesz mniszką, rozstanę się z Tobą na wieki“, tymczasem sprzeniewierzyłaś się ostatniej woli męża.

— Dlaczego zostałaś mniszką?

— Proszę cię bardzo, nie mów o tem! Słuchając ciebie, wydaje mi się, iż mąż mój odzywa się do mnie z grobu. Jak sama już czytałaś, zakazał mi zostać mniszką i nakreślił plan dalszego mego życia. Nie pragnęłam sprzeniewierzyć się jego woli, lecz czyż mogłam nie dochować mu wierności, chociażbym za to miała być rozłączoną z nim na wieki? Jak mógł mnie wziąć za tak lekkomyślną kobietę? Kiedy doszła mnie wieść o jego śmierci bohaterskiej, pragnęłam pozbawić się życia, lecz on zakazał mi w swym liście i żyć w świecie nie miałam najmniejszej chęci. Być może w życiu poprzednim popełniłam coś złego i teraz muszę pokutować za moje przewinienie. Wszyscy ludzie ponad wszystko cenią życie, dla mnie jest ono jarzmem. Mąż mój, jak i ja, w dzieciństwie utracił rodziców i wychowywał się u wuja, lecz wuj ten jest mi obcy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie uwierzyli.

Była północ, gdy Wornak i Kizlar udali się na robotę. Wornak miał gorączkę, po całem ciele przeprzebiegały dreszcze — zacisnął zęby, żeby nie szczękać.

Kizlarowi było strasznie gorąco.

Ciemna noc jesienna, ponura, zazdrośnie kryła dwóch przyjaciół w swej czarnej, nieprzejrzanej głębi. Wilgotny ostry wiatr, niewidzialny a głośny, pchał ich, krzycząc za nimi.

— Śmiało. Nie bójcie się.

Nic i nikogo dokoła. Miasto śpi, nie słychać ludzkiego głosu — tylko mokre kamienie dziwnie szeleszczą pod ich niepewnymi, bojaźliwymi krokami.

— Stój Wornak, już jesteśmy u celu.

— Tu jest ten dom. Ty wszystko dobrze pamiętasz?

— Pamiętam.

— Słuchaj, stań tu, patrz dobrze, nie gap się. Pamiętaj Wornak, żebym się nie zasypał.

Sam przecież wiesz, za piątym razem mogą mnie złapać.

— Dobrze, wiem.

Jeśli co usłyszysz, to pamiętaj, co masz robić, dawaj głos.

Bądź spokojny, nie jestem dzieckiem.

Idź z Bogiem.

Kizlar ostrożnie podszedł do drzwi frontowych przylgnął twarzą do zimnego szkła. Jego bystre spojrzenie, jak igła przeszyło gęstą, nieprzejrzaną ciemność. Nic nie widział. Wiedział, że tam są schody i że z obu stron stoją doniczki z kwiatami.

Czego się bać? Szwajcar na ślubie swego syna a państwo wyjechali.

Kizlar wie o tem dobrze. Gulasz nastręczył tę „robotę“ on nigdy nie oszuka, sam był dobrym złodziejem

Prędzej, prędzej — nagli sam siebie Kizlar. I czuje jak gorąca fala podnosi się od stóp do serca, a przez plecy przebiega chłód.

Kizlar wydostał z kieszeni długi ostry gwóźdź i przyłożył go do szyby.

Wiatr przylgnął do ziemi i przycichł na chwilę. Kizlar wstrzymał oddech i usłyszał wyraźnie, jak szyba trzasła. Schował gwóźdź i umiejętnie zręcznie zaczął wydobywać palcami kawałki szkła, Kizlar złożył wydobyte szkło pod ścianą, aby ktoś przechodząc nie zawadził o nie nogą.

Strach opuszczał go tylko na małą chwilę. Gdy przypomniał sobie że strzeże go przyjaźnie, ciemna noc i czujny Wornak — wówczas otrząsał się z lęku i było mu przez chwilę lżej. Ale za każdym poszumem wiatru zdaje mu się, że słyszy jakieś głosy w oddali i straszna bojaźń przenikała mu duszę.

— Bez szmeru przelazł Kizlar przez zrobiony otwór i namacał rękami schody. Powoli zaczął włazić na czworakach.

Otóż i drzwi do mieszkania. Dobranym kluczem Kizlar roztworzył drzwi, wyjął z kieszeni ogarek świecy, zapalił i... zamarł z przerażenia.

W oświetlonym pokoju stał przed nim mężczyzna silny, o szerokich ramionach; z za ust na-wpół rozwartych wykrzywionych strachem widniały białe, zdrowe zęby, ciemne szeroko rozwarte źrenice płonęły dzikim ogniem.

— Przerażenie Kizlara trwało krótko, ale przez tę małą chwilę przeżył on całą wieczność. Gdy oprzytomniał, zrozumiał, że zobaczył w wielkim lustrze odbicie własnej postaci.

Z piersi jego wyrwało się westchnienie ulgi a usta wykrzywił nerwowy uśmiech.

Wszedł do drugiego pokoju. Był to wielki pokój zastawiony meblami w białych pokrowcach. Drżące odblaski zapalonej świecy jak żółte węże pełzały po podłodze i wzorzystem obiciu ścian. Ciemne oczy Kizlara, zaczęły rzucać się po pokoju, przebiegając z jednego przedmiotu na drugi, a z każdą sekundą blask ich stawał się gorętszy i jaskrawszy.

Radosne wzruszenie opanowało Kizlara, gdy wszystko objął trwożnym wzrokiem i ocenił. Ile tu cennych rzeczy. Wszystko takie bogate. Ale nie po takie ciężkie rzeczy przyszedł tu Kizlar. On wie, czego mu potrzeba.

Kizlar wszedł do gabinetu. Oto stół, o którym tyle mówił Gulasz. Kizlar postawił świecę i obejrzał się.

Pokój był duży, o dwóch oknach. Szafy z książkami, portrety. Pośrodku duży stół, pokryty malinowem suknem.

Kizlar wydobywa z kieszeni długie dłuto, klęka przy stole; rozpoczyna robotę.

Głowa mu płonie, a myśli jak skry, unoszone wiatrem wirują, tańczą, zapalają się i gasną. Dusza jego pełna pragnień pracuje z szaloną energią. Pożądliwa odwaga płonie mu w oczach. Pierwsza szuflada otwarta.

— Same papiery!

— Jakie?

— Wszystko jedno. Łakomie drżącemi rękami chwyta i chowa do kieszeni.

— Jeszcze jedna szuflada otwarta...

Co to? światełka. Dźwięk złota. Szkatułka otwarta. Pełna złotych rzeczy.

Złoto płonie, błyszczy w półmroku...

— Moje! — szepcze Kizlar spieczonemi wargami i przyciska złoto do piersi.

Ale nagle zdawało mu się... Nic nie zdawało. Ktoś chodzi po salonie.

Wyraźnie słyszy kroki bojaźliwe, ciężkie.

Odwaga odbiegła Kizlara i zwierzęcy strach jak czarne widziadło przypełzł do niego. Kroki zbliżają się. Słyszy ludzki oddech. Wszystko skończone. Zginął napewno. Ale nie, on nie odda tak ani siebie ani złota! Śmierć temu kto tu wejdzie!

Kizlar wyjął z buta szeroki nóż i ścisnął go aż do bólu w ręku! Ciemne jego oczy zatrzymały się nieruchome, miały wyraz obłąkania.

Ktoś podszedł do drzwi gabinetu i stanął.

Zgasić świecę, koniecznie przemknęło w myśli Kizlara ale już było zapóźno.

Skrzypnęły drzwi i jedna połowa rozwarła się. Kizlar rzucił się przed siebie.

— Wornak! Ty?

— Ja.

— Czego chcesz?

— Nie wiem... Tak coś ciągnęło... Rozumiesz jak ciągnęło.

— Tam niema nikogo... nie bój się.

Oczy Wornaka spoczęły na szkatule i zaiskrzyły się.

— Ile złota! Czy wszystkie szuflady otwarte?

— Wszystkie.

— A w stołowym byłeś?

— Nie jeszcze.

— Więc idźmy prędzej — dziwaku. Zabawimy się.

Warnak porwał świecę i pobiegł ku drzwiom.

W drżącej ręce trzymana świeca rzucała skąpe smugi światła. Kizlar szedł za nim. Ich drżące wielkie cienie goniły jeden drugiego, pełzając po ścianie i suficie.

Otóż i pokój jadalny przyjaciele obejrzeli i zaczęli pracować. Złamali kredens i zaczęli wyciągać srebro, kryształy, porcelany. Obaj, stąpając na palcach, przeskakiwali od kredensu do stołu, od stołu, do drzwi, nadsłuchiwali przez chwikę i znowu wracali do roboty.

Ale później zapomnieli o wszystkiem. Grabili z rozkoszą i doznawali niewypowiedzianej radości.

— Kizlar, widzisz szafę tam?

— Otwieraj.

Z trzaskiem odleciały cienkie drzwi szafy.

— Tss... ciszej, ty...

— Spojrz ile srebra!...

— Wyciągaj, nie gap się...

Ich powściągliwy szept jak szelest liści rozlegał się w opuszczonym pokoju. Kizlar i Wornak są pijani namiętnością i pożądaniem. Już z trudem rozpoznają rzeczywistość.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Ułożył dr. W. D.

Tylko prędko — *Pierwsze — trzecie*
Szpeci nawet piękne dziecię.
Drugie — trzecie brzmią i grają,
Łby bawołów ozdabiają
Całe — z misek prędko znika,
Łatwo się je i z gustem połyka.

Łamigłówka kwadratowa.

Ułożył W. K.

a	a	a	b	c	d
e	e	e	e	f	i
k	l	l	l	m	n
n	o	o	o	o	p
p	r	r	r	s	s
s	t	u	x	y	z

Rozrzucone litery w kwadracie uporządkować w ten sposób, ażeby poziome rzędy miały następujące znaczenia:

1. Jarzyna.
2. Imię męskie.
3. Wydatek.
4. Przywilej.
5. Sławny dramaturg za Ludwika XIV.
6. Miejscowość sławna z kopalni srebra.

Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry do dołu, utworzy nazwisko poety polskiego z XIX wieku, a ostatni rząd, czytany w przeciwnym kierunku, tytuł dzieła tegoż autora.

Logogryf.

Z sylab: berg, biew, bi, ce, de, dom, Jan, gor, i, il, ja, jazd, har, kon, ku, lands, lin, ło, men, mir, ob, rad, sar, skar, ski, ty, u, wa, wi — ułożyć 12 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imiona i nazwiska dwóch dzielnych artystów i kierowników sceny.

Znaczenie wyrazów: 1. Autor „Słownika języka polskiego“. 2. Miasto na Śląsku pruskim. 3. Budynek. 4. Miejscowość, w której Japończycy zadali Rosyanom krwawą klęskę. 5. Jezioro. 6. Imię męskie. 7. Wojewoda, z czasów Bolesława Krzywoustego. 8. Inaczej ofiary. 9. Miasto w Prusach Wschodnich. 10. Poeta polski z XVI. wieku. 11. Osada w serbsko-banackiem pograniczu wojskowem. 12. Słynny wódz rosyjski.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya wspaniale ilustrowane dzieło Wł. Bełzy: **„W ojczyźnie bohatera“.**

Rozwiązania z Nru 29.

Rebus: Kto chce ratować biedaka, to niech to spełnia w ukryciu, a nie szuka w rozgłosie nagrody.

Szarada: Aligator.

Arytmogryf: Franciszek Karpiński.

Łamigłówka: Lampa stołowa.

Problem mozajkowy: Helena — Stefan.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: B. Ramułtowa Jeżów, H. Stehlikówna Szczyrk. M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, Czytelnia „Tow. Szkoły Ludowej“ w Kołaczycach, R. Żabka Biała, M. Kornreich Kraków, J. Badura Rożdzień, ks. A. Małaszyński Firlejów, Julia Malik Bolechów, M. Rożański Nowy Sącz, M. Biliński Iwanków, W. Żralski Podgórze, Stadnik Grabiny, T. Domain Sanok, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Ramoszyńska Borysław, A. St. Bassara Niwiska, Remiszewski Załawie, M. Cetera Dubiecko, L. Rogalski Mikulińce, I. Oleaczkówna Jordanów, J. Hubermann Mikulińce, Kuszpeciński Kraków, Fr. Josefert Kraków, St. Łaszkiewicz Słotwina, J. Biegoń Ślemień.

Ponadto nadesłał rozwiązanie p. St. Szeligowski ze Lwowa, Rozwiązanie to ze względu na jego oryginalność, zamieszczamy poniżej w całości:

Cztery zagadki do nagrody — rzecz rozmyślić trzeba,
Bo „Popioły“ Żeromskiego mogą spaść jak z nieba.
Zacznę więc od rebusu, znana myśl to w życiu,
Że *„kto chce ratować żebraka, to niech to spełnia w ukryciu,*
A nie szuka za to w rozgłosie nagrody...
Boć w spełnionym czynie znajdzie dość osłody!
Kochać drugich jak siebie, myśl Bogu poświęcić w pokorze
Tego uczy *„Franciszek Karpiński“* w jednym swym utworze,
On też treść Arytmogryfu z pewnością tworzyć może.
Kiedy mowa o bliźnich i różnych cudach tego świata
Jest *„aligator“*, ze szarady zwierzęciem, co chodzi, pływa — [a nie lata.
Potem trzeba w łamigłówce ułożyć literki ładnie,
A w czytaniu przez środek *„lampa stołowa“* wypadnie.
Jeszcze jeden problem i to w dodatku mozajkowy,
A nagroda pewna — cały nawał pracy gotowy.
Trzeba tylko wyciąć figurę i kwadrat ułożyć,
A *»Stefan i Helena“* muszą dwie przekątnie tworzyć.
No nareszcie!... ależ bo to gorąco do czarta,
Tylko Żeromski i „Popioły“, które dostanę, stanowczo tego [warta.

Że takie rozwiązanie warte jest nagrody, o którą chodzi, to nie ulega wątpliwości. Los jednakże przy dawaniu nagród rozstrzyga i los kapryśny, jak zawsze, i p. S. figla wypłatał. Nagrodę otrzymała bowiem przez losowanie p. Helena Stehlikówna w Szczyrku, p. Buczkowice.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.